

PISMO ILLUSTROWANE DLA RODZIN.

№ 22. Warszawa, dnia 20 Maja (1 Czerwca) 1876 roku. Rok 12.

CENA PRENUMERATY:

w Warszawie z odn. do domu		na prowincyi w Cesarstw. i Królestwie.	
rocznie	rs. 6 k. —		
półrocznie	„ 3 „ —	rocznie	rs. 8 k. —
kwartalnie	„ 1 „ 50	półrocznie	„ 4 „ —
miesięcznie	„ — „ 50	kwartalnie	„ 2 „ —

w Krakowie rocznie z stemplem dziennikar. Złr. 10.
w Galicyi Złr. 11 cent 50. — w Prusach roczn. 24 marek.

OPIEKUN DOMOWY
wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYA, SKŁAD GŁÓWNY i EKSPEDYCYA
PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT Nr. 72 NOWY.

Skład główny: w Poznaniu w Księgarni *Leitgebera i Spółki;* we Lwowie w *Księgarni Polskiej*, ulica Kopernika Nr. 12; w Krakowie w Księgarni *Gebethnera i Spółki;* w Wilnie u *J. Zawadzkiego.*

NUMER POJEDYNCZY KOP. 15.

IRONJA MIŁOŚCI.

(SIELANKA Z OSTATNICH CZASÓW.)

I.

Duszo mej duszy, aniele uroczy —
Czem złote gwiazdki, czem słońca promienie,
Czem błękit nieba? Wszystko nocne cienie,
W obec twych blasków, blasków co twe oczy
I postać cała rozlewa w około,
W zachwyt wprowadza, — porywa mą duszę,
Unosi w szczęścia nieznane mi światy,
W krainy marzeń, — tworzy cudne kwiaty
W myśli mej, w sercu. Ach dla ciebie muszę,
Muszę żyć Maryo! O tak, tyś me czoło
Odarła z chmury, tyś mi świat tęczowy
Z całą świetnością, barw jego odbłyskiem,
Wlała w mą duszę, ukazała nowy
Ideał życia, w chwili gdy z pociskiem —
Ironii, szyderstw, śmiechu szatańskiego —
Plułem na życie, na siebie samego,
Na świat, na ludzi. Tak zmęczonem okiem,
Chciałem się ujrzeć pod śmierci pomrokiem. —
Dziś życia pragnę. — pełnią piersi moich
Oddycham, czuję, jakby odrodzony
Całą potęgą miłości dla ciebie,
Woń szczęścia — szczęścia którego i w niebie
Zazdrościć mogą! — Dziś jestem spragniony
Żyć w tobie Maryo, duszą uczuć twoich.
O mój aniele! moje życie całe.
Me serce, czucie u nóg twoich składam,
Wszystko co mogę, wszystko co posiadam.
Tyś niebem mojem! O jak wszystko małe,
W obec twej duszy, w obec twego cienia. —
Tak mówił młodzian, w pełni uniesienia
Cisnąc dłoń Maryi, a ócz swych źrenice
Wlepił jak w obraz w uroczą dziewicę. —
A ona?... Ona wyszeptała z cicha:
Kocham cię... kocham, — bez ciebie usycha,
Róża w mej dłoni, bez ciebie świat niczem,
Tyś dla mnie wszystkiem;" a rumieniec skrycie
Wkradł się na lica, — gdy oczy w zachwycie
Pałały ogniem, miłością i blaskiem. —
O była piękną, z tak cudnem obliczem.
Jak tu nie kochać? Świat cały oklaskiem
Byłby ją uczcił; — a młodzian wzniesiony
Potęgą czucia, wdziękami olśniony
Ściskał, całował w namiętnym szale
Rękę dziewicy; jak wzburzone fale
W huku żywiołów będąc rozpienione,
Ściskają okręt, całują go, pieszczą.
Oczy dziewicy na niego zwrócone
Mówiły, kocham i usta szeptały
Ten wyraz: kocham; — w tem niezrozumiały,
Jakiś głos, echo, czy powiew wietrzyka,
W szyderczym śmiechu przebiegł nad głowami,
I zniknął gdzieś dalej z swą nutą złowieszczą,
Jak zwykle wszystko w życiu ludzkiem znika,
Cień tylko słaby zostawiając z nami.
O droga Maryo, drogi mój aniele!
Więc będziesz moją, wkrótce połączeni
Klękniemy razem u stopni ołtarza,
O tak mój drogi, ta chwila w kościele,
Jest wielką, wzniosłą; — Bóg, co wszystko stwarza,
Dla nas tę chwilę w zdrój szczęścia zamieni. —

II.

Szczęśliwy młodzian powrócił do siebie,
Marząc o Maryi, o cudnem jej oku,
O słowie kocham i o tym uroku
Z jakim dziewica do niego szeptała. —
O! wyrzekł dumny, chyba anioł w niebie
Nie jest czyściejszym jak jej dusza biała...
Stój, stój, młodziencze igrał głos nad uchem,
Przedwcześnie nie sądź — wszak jesteś na świecie
Gdzie tyle błędów i trosk duszę gniecie,
Czyż byś ty jeden miał być tym dzieciuchem.
Szczęścia? O nie wierz; zabrzmiał i popłynął
Gdzieś dalej w górę; a młodzian z uśmiechem
Wyrzekł do siebie: Gdym prawie zawinął
Do portu szczęścia, było by to grzechem
Wątpić już o niem..
W tem ujrzał na stole
List z zagranicy; otworzył ciekawy
Nie przypuszczając najmniejszej obawy
O jakie straty, — aż tutaj przeciwnie,
Szkaradne wieści! Na młodzieńca czole
Silny pot osiadł i dosyć się dziwnie
Obawa, smutek i gniew malowały.
Więc wszystkom stracił, o losie zuchwały!
Zawołał młodzian: i cóż zawiniłem
Żeś mnie tak targnął, czy zawiele piłem
Z czary rozkoszy, czy życia uciechy,
Czy krzywda ludzka? Nie wiem jakie grzechy
Mogły spaść na mnie...
Ale dość tego,
Oprócz rozpaczy, — pogardę dla niego
Czuć tylko mogę. Dziś pracować będę.
Wszak mam po temu głowę, ręce, siły,
Te mi zostały, te mi zapewniły
Me dalsze życie, — tem sobie zdobędę
Szacunek ludzi. — O marności świata,
Wszystko jak dymek ginie i ulata,
Lecz myśl zostaje i dusza nie ginie.
Jeszczem szczęśliwy, — w miłości krainie
Mam moją Maryę, ona mię zrozumie,
Nie jest bogatą, ale kochać umie.

III.

Wkrótce wieść straty rozbiegła się w koło
O upadłości domu bankowego —
I o bankructwie młodzieńca naszego
Doszła do Maryi, gdy ona wesoło

Marzyła jeszcze w snach pięknych, różowych
O swej przyszłości w kolorach tęczowych,
O swym kochanku, o jego miłości.
Nowe bogactwa, karety i cugi,
Świetne salony, pełne zawsze gości,
Mnóstwo liberyi na swoje usługi,
Wszystko to razem stało przed oczami,
Gdy wieść fatalna napełniła łzami
Jej śliczną brewkę. — I czegóż płakała?
Tych marnych bogactw, świetności i błysku,
Tych czczych próżności w których to uścisku
Życie się znudzi; ona pojmowała
W ten sposób szczęście,...
Lecz wstyd być dziecinną.
Otarła łezkę, spojrzała w zwierciadło, —
Znikło z przed oczów różowe widziadło,
Znikł też i uśmiech i za chwile inną
Postać przybrała. — Wsparłszy ręką głowę,
Siadła przy oknie, a na pieknem czole
Wyraz powagi udatny rys rzucił,
Cień z za firanek otoczył połowę
Twarzy dziewicy, — a w myśli jej kole
Aniołek piosnkę o miłości nucił.—
Trudna to walka gdy serce kobiety
Znieść musi starcie z błyskotkami świata,
Któreż z nich wygra, a które, niestety,
Walką zmuszone na zawsze ulata?
. . . .
Dziwne losu koleje, rzekło po namyśle
Piękne dziewcze do siebie, to począć w tej chwili?
Trudno teraz wymagać byśmy się już ściśle
Węzłem ślubnym na zawsze z sobą połączyli.
Kochać go? Wszak go kocham, lecz cóż z mej miłości,
Gdy nie możem w dostatkach wspólnie pędzić życia.
Ja przywykłam do wygód od czasu powicia,
On w samych zbytkach przeżył czas swojej młodości,
Cóż mu jeszcze zostało? Wspomnienie i praca
I cóż z tego wspomnienia, — o to nie popłaca.
Dla poety wspomnienie to może się przyda,
Bo napisze poemat i w książce go wyda. —
On wprawdzie ma charakter silny i niezłomny,
To pewna, że się rzuci w kraj pracy, bo pomny
Na życie, miłość dla mnie, na swe odrodzenie,
Lecz praca wiele nieda, gdyż już całe mienie
W jednej chwili utracił. . . . .
. . . . I to ta dziewica,
Której dusza i postać młodziana zachwyca,
Która wczoraj szeptała miłości urokiem,
Spoglądała na niego tak namiętnym wzrokiem.
Dziś, serce kładzie w głowę, w duszy jej chłód wieje.
Nie ma się czemu dziwić, często się tak dzieje. —
Lecz cóż teraz zrobimy?.... Radzić tutaj trzeba
Co mu powiem, gdy przyjdzie; — o pomyśleć muszę
Nie łatwe to zadanie, lecz łudzić mu duszę
Byłoby nieuczciwie, gdy spadamy z nieba. —

IV.

Już dni kilka minęło, nie było młodziana.
Czy przeczuwał chłód Maryi, jej wyrachowanie
O nie, silnie w nią wierzył, on nie byłby w stanie
Wątpić ani na chwilę: — lecz sądził, że zmiana
Tak nagła w jego losie nieco go zmieniła.
Zapragnął samotności, ażeby odżyła
Myśl w nim swobody, szczęścia i uroku, —
Zrzucił wkrótce swój smutek i w młodzieńczem oku
Zabłysło nowe życie. Pobiegł więc szczęśliwy
Do swojej drogiej Maryi, do swego anioła,
By w oczach jej wyczytać ten urok prawdziwy,
Który zetrzeć zupełnie resztę smutku zdoła. —
. . . .
Marya była wesołą, na piękne jej lica
Żywy osiadł rumieniec, a kamelję białą
Wpięła w swe ciemne włosy... czarowna dziewica —
Miała w tej chwili postać przecudną, wspaniałą.
Młodzian tkliwie jej rękę ujął w swoje dłonie:
O śliczna jesteś Maryjo, o kochasz mię jeszcze,
Wszak prawda, jam szczęśliwy—tą myślą się pieszczę
O tyś na wieki moją,—a w pracy osłonie
Będę żył w tobie..
Dziś u nas zebranie,
Rzekła dziewica nieco roztargniona.
Pan będziesz także?... Będą śliczne panie,
Mnóstwo młodzieży, — o jestem spragniona,
Życia w sukni balowej, — tak mię już znudziła
Ta ciągła monotonność, życie jednostajne.
Wszak pragnienie me zabaw, ażebym odżyła
W wirze tańców, muzyki, trafne i zwyczajne
Wszystkim ludziom, nieprawdaż? . . . .
. . . . Teraz panu powiem
Kto będzie na wieczorku. Pani Z. prześliczna,
Młoda, bogata wdówka, która wszystko zgoła
Dowcipem swoim zająć, i przyciągnąć zdoła;
Jej ładna siostrzenica z nieszczególnem zdrowiem,
Lecz bogata, miluchna i trochę kostyczna,
Pani B. także będzie z swemi córeczkami,
Pan R. młody z kuzynem, przystojny, bogaty,
Miły bardzo młodzieniec i pan S. garbaty,
Ostro cięty języczek. — Pani W. z wnuczkami,
Pan J. ładny mężczyzna, który ma nie więcy
Jak rocznego dochodu całe sto tysięcy.
I wiele innych osób, panienek, młodzieży,
Których pan znasz po części; —zabawa więc będzie
Zdaje się ożywioną — jak zazwyczaj wszędzie
Gdzie dobór towarzystwa bawić się zamierzy. —
Nie pojmuję Cię Maryjo, rzekł młodzian zdziwiony,
Jakaż zmiana dziś zaszła w twej myśli, pojęciach,
Co mogło tak cię znudzić, byś w gorących chęciach
Czuła do zabaw pociąg tak żywy, spragniony. .
Droga Maryo! ach powiedz co to wszystko znaczy,
Co znaczą te wyrazy, twoje roztargnienie,
Co znaczy niezwyczajne to zimne spojrzenie,
Czemu panem mię zowiesz? Gdy dawniej inaczy
Zawsze mię nazywałaś. — Wytłomacz aniele,
Ach odpowiedz mi na to, wszak nie żądam wiele.
Ja także, rzekło dziewcze, nie pojmuję pana,
Czy doprawdy tak nagła zaszła we mnie zmiana?
Maryo! zawołał młodzian, to ironji słowa,
Lub w tej chwili żart ze mnie, albo próba nowa.
O nie, — zapewniam pana, że żartować z niego
Zupełnie nie uważam za coś stosownego,
Rzekła i wzrokiem zimnym młodzieńca przeszyła.
Śmiem jednak sądzić panie, żem nie zasłużyła,
Byś pan tak energicznie żądał tłomaczenia
Z każdego słowa, myśli oniemal spojrzenia,
Miejsce więc do spowiedzi przy konfesjonale
Uważam za stosowne — przed kapłanem — ale
Tu . . . .
O Maryo! tak depczesz miłość mą dla ciebie,
Tak depczesz święte węzły!
Węzły... jakie panie?
Jakto, więc miłość nasza, nasze przywiązanie,
Niczem już są dla ciebie, — czyż nie są węzłami,
Które pan Bóg miał spoić ślubnemi związkami?
Miał spoić, — lecz nie spoił. Jeszcześmy w kościele
Nie przysięgali sobie, — kapłan stułą świętą
Wszak nie związał rąk naszych . . . .
. . . . Ach jak niepojętą
Jest dla mnie taka zmiana.
Co tu mówić wiele,
Co rozpaczać pan będziesz... Uspokój się panie
I pozwól sobie zadać maleńkie pytanie,
Które zarazem będzie odpowiedzią moją,
A może zaspokoi i ciekawość twoją.
Czy doprawdy byś żądał bym się narażała
Na niedostatek z panem, gdy los nieszczęśliwy
Targnął cały majątek?
To powód prawdziwy,
Zawołał młodzian rażony boleśnie.
Poznał ją teraz, — lecz poznał niewcześnie.
A ona, zimno, dumnie, przed młodzieńcem stała.
Żegnaj mi pani, żegnaj Maryjo droga.
Już mię nie ujrzysz chyba tam u Boga
I spojrzał na nią z wyrazem boleści
I wybiegł szybko i zginął bez wieści.
A ona? Ona tańczyła wesoło,
Rojem młodzieży otoczona w koło.

ŚLADY ŻYCIA.

Tyle życia ile w czynie.

XXII.

I znów nam przychodzi zanotować smutny ślad, ale nie życia lecz.... śmierci.

W dniu 22 maja zasnął w Bogu ś. p. Władysław Chomętowski, znany zaszczytnie na polu współczesnej literatury naszej jako pisarz dziejowy.

Jako pracownik pióra — odznaczał się niezmordowaną pracą na drodze prawdziwie intelligentnego badania przeszłości naszej, patrząc w nią jasnym umysłem i gorącem sercem.

Jako człowiek, o życiu w ciężkich nieraz krzyżach a wysokiej zacności spędzanem, może być świetnym wzorem dla wielu ludzi.

Tak jedna jak i druga strona życia ś. p. Władysława Chomętowskiego, wzbudza prawdziwą cześć jego pamięci.

* * *

Oj ci Niemcy, ci Niemcy i jeszcze raz Niemcy—chyba nigdy o nich nie przestaniemy mówić, bo nigdy zapewne nie zbraknie materyału. Jużto widać tak zapisano w księdze niedołęztwa naszego.

— Do czegóż to ten wstęp, pytasz łaskawy czytelniku.

Ach, niestety, do kolonizacyi niemieckiej u nas, wyraźnie *u nas*.

Patrz łaskawy czytelniku, jakie to przerażające cyfry podaje gazeta Lubelska, z dziedziny tej kolonizacyi w ostatnich 10-ciu latach. Oto w guberni Lubelskiej rozparcelowano mórg 35,534 między nowoczesnych *kulturträgerów*. Na powiat Lubartowski przypada z powyższej cyfry morgów 14,919. To stanowi $^{1}/_{15}$ część powierzchni całego powiatu, stosunek zaś ludności jednej do drugiej w tymże powiecie jest taki, że na 70,000 mieszkańców elementu naszego przypada 4,589 elementu teutońskiego. Niemcy są narodem cywilizowanym, a że nim są, to przekonywają powyższe cyfry. Niemcy postępują i ciągle postępują, a że postępują, to znów przekonywają powyższe cyfry. Niemcy nakoniec zjadają nas po kawałku i my im smakujemy, a że oni nas jedzą i że my im smakujemy, to wymownie dowodzą takie jak powyższe cyfry.

* * *

Komissya konkursowa w Warszawie nareszcie po upływie długiego czasu i po wielu a wielu posiedzeniach, *ukończyła swoje prace*, jak o tem w poprzednim numerze niniejszego pisma podaliśmy do wiadomości czytelników naszych.

Wszyscy byli w niemałem oczekiwaniu, co też te prace nam dadzą, czyli inaczej mówiąc, jaki będzie rezultat owego konkursu.

Nadesłanych, jak wiemy, sztuk drama-

tycznych i czytanych przez członków komisyi konkursowej było 45 *(wyraźnie czterdzieści pięć)*, oprócz trzech na początku usuniętych. Czterdzieści pięć sztuk to ogromna cyfra. Prasa nasza krzyczała, ci i owi chwalili, że to zaszczyt nie mały dla konkursu naszego mieć nadesłaną taką pokaźną ilość sztuk świetnych, wołali: rezultatów spodziewać się można,—a toż żaden konkurs nie wydał takich owoców, jakie prawdopodobnie nasz konkurs przyniesie. Tak się wszyscy spodziewali i tak mieli racyę twierdzić. Aż oto zapada uchwała komisyi konkursowej—uchwała, czytelniku, bez apelacyi, która w jednej chwili zdruzgotała, zmiarzdżyła, w proch rozsypała tak supozycye publiki naszej i prasy, jak niemniej nadzieje autorów. O smutna dolo autorska, gdzież sny złote o konkursie, o czarownej Temidzie, z zatkanemi watą uszami?..... I wszystko znikło jak sen poety. Bo oto z 45 sztuk wybrano tylko 14 do wspólnego czytania—a z tych czternastu..... żadna, tak jest, *żadna* niegodną była *pierwszej* nagrody. Co gorsza, pięć tylko sztuk, może nie uwierzysz czytelniku—klnę się na honor autorski pięć tylko sztuk uznano za odpowiednie do gry, czterdzieści zaś odrzucono z kretesem — jak śmiecie—niepotrzebne, jak śmiecie — nic nie warte. No czytelniku, mówię poważnie, to albo kpiny, albo hańba dla naszych piór autorskich. Z tych pięciu jedna wybranka losu otrzymała *drugą* nagrodę rsr. 300.

Cóż sądzić o tak oryginalnym, niespodziewanym rezultacie? Powiedzieliśmy, że to albo kpiny, albo hańba dla naszych piór autorskich. Bo proszę dobrze zważyć. — Jeżeli z 45-ciu sztuk nieznaleziono ani jednej godną pierwszej nagrody, a tylko 5 znaleziono odpowiedniemi na scenę, to się znaczy, że 40 sztuk nic nie warte, a przynajmniej tak mało, że nie ma o czem mówić, zatem cóżto za bieda, co to za nędza te nasze pióra dramatyczne.

Odwrotna strona medalu. Przypuszczamy, a nawet zgadzamy się na to, że dużo niepowołanych kapłanów posłało na ten konkurs sztuki swoje, które niczem innem, jak tylko próbką dyletanckiego pióra być mogą. Dajmy więc na to, że takiej lichoty było połowę—druga połowa co najmniej nadesłaną została przez rzeczywistych autorów, mających pewien talent, pewną wprawę i nakoniec pewne wyrobienie autorskie.—Boć niepodobna, ażeby na konkurs pierwszy raz wyznaczony w Warszawie autorzy nasi, nie nadesłali prac swoich, a z drugiej strony trudnoby uwierzyć było, ażeby prawie same tylko dyletanckie pióra pracować miały w tym celu. Jeżeli więc połowa tylko, z nadesłanych sztuk była płodem lepszych piór autorskich, to bądź co bądź, co najmniej połowa tej połowy, czyli $1/4$ całej liczby nadesłanych sztuk, godną być winna sceny i jedna choć z nich *pierwszej* nagrody.

To jest *minimum, straszne minimum,* jakie tylko w najskromniejszych życzeniach, z najskromniejszych ust wychodzących, objawionem być może. Tembardziej, że, o ile nam wiadomo, są tam z niemałym talentem napisane sztuki, które nawet do *gremialnego* czytania dopuszczonemi nie były. Czyżby Komisya konkursowa była tak wybredną, czy może wiatr Krakowski zawiał nieco do nas?

Jeśliby ta odwrotna strona medalu sprawdziła się, mielibyśmy ładne kpiny. Dziś nie mówimy ani tak, ani nie. Czekamy na obszerne motywowanie Komisyi o wypadku konkursu, które zapowiedziane zostało w odezwie tejże komisyi. Zobaczymy co to motywowanie nam powie, a wtedy będziemy wiedzieli; czy pióra autorskie nędzne, czy komisya..... no naprzykład..... *wybredna?*

* * *

W Numerze 17 niniejszego pisma dotknęliśmy mimochodem smutnej pozycyi szwaczek naszych. Jako kwintessencyę rozumowania naszego, również pobieżnie rzuconego, postawiliśmy zadanie, iż trzeba dążyć, o ile możności, do tworzenia spółek kobiecych, mających zadanie dążenie do jakiego takiego samoistniejszego bytu drogą *połączonej pracy kobiecej*.

Powiedzieliśmy dalej, iż do tego potrzebnym jest udział w pomocy czy to czynnej, czy nieco grosiwem tych wszystkich, którym nieobcą jest sprawa bliźnich, niemających prawie żadnej przystani w życiu, a dla których jedyną przystanią może być tylko miłość chrześcijańska, wsparta przebaczeniem, ufundowanem przez Boga-Człowieka.

Kuryer Warszawski w Nr. 114 w artykule wstępnym podjął ten przedmiot w sposób bardzo szlachetny, zbliżony mniej więcej do rozumowania naszego i postawił tę kwestyę w sposób bardzo odpowiedni i zbliżony do realizowania takowej.

Ażeby tem dokładniej konkluzyę wspomnionego artykułu postawić, przytoczymy takową w całości, tembardziej, iż — godną jest przytoczenia.

Na pytanie, od kogo spodziewać się należy podania ręki szwaczkom, artykuł wspomniony odpowiada:

„Od wszystkich zacnych i rozumnie myślących obywatelek naszego miasta, od wszystkich zwłaszcza matek, które nie wiedzą dzisiaj, czy ich córki jutro albo pojutrze, pod naciskiem potrzeby, nie zostaną szwaczkami.

„Wierzajcie mi panie! Byłaby to z waszej strony filantropja tak czysta i święta, a tak płodna w następstwa, że w obec niej zbladnąćby musiał niejeden niby wielki, i z chałasem wypełniany miłosierny uczynek. Dobrze! dobrze! ależ powiedzcież nam, co mamy mianowicie zrobić, jak się wziąść do rzeczy? Tymczasem tylko, myśl naszę streścimy tu w krótkości:

„Zawiązać kółko czy towarzystwo materyalnej pomocy i moralnej opieki dla szwaczek.

„Kilkadziesiąt pań naszych zamożniejszych, składając dajmy na to po 50 rubli, tworzy na początek kasę pożyczkową, z której każda dobrego prowadzenia szwaczka, mogłaby, czy to na wypadek choroby, czy też w jakiej innej naglącej potrzebie, zyskać zasiłek, nie sposobem nawet jałmużny, ale *bezprocentowej pożyczki.*

„Pożyczka taka, mogłaby być spłacaną możliwie najdrobniejszemi ratami, podczas gdy kasa,—ofiarnością powiększającej się z czasem liczby uczestniczek mogłaby się wzmacniać.

„Z drugiej zaś strony zadaniem kółka byłoby niemniej rozciągnąć nad szwaczkami, prawdziwie macierzyńską—opiekę moralną.

„Przy niezbyt starannie zaszczepianych w dzieciństwie zasadach prawdziwej cnoty i przy zaniedbanem w ogólności wychowaniu domowem, nie przeczymy bynajmniej, że między pracownicami igły znaleźć się mogą i takie, dla których pierwszy lepszy uśmiech i prezencik wymokłego młodzieńca, może stać się pobudką do zejścia z drogi, którą uczciwa i ceniąca godność swoję kobieta iść winna; lecz też czuwanie nad istotami i zwracanie ich nawet z drogi na którą niebacznieby weszły, jest świętym obowiązkiem społecznym—a obowiązek ten właśnie ciążyłby na każdej uczestniczce kółka.

„Nie idzie nam tu zresztą o kreślenie szczegółowego projektu, lecz o postawienie i uargumentowanie zasadniczej myśli.

„Myśl więc tę stawiamy zdaje się jasno, a nie zrzekając się i nadal jej popierania, wołamy raz jeszcze: pomocy i opieki dla istot, które walcząc o chleb powszedni i krwawemi oblewając go łzami, znosić nadto muszą bolesną.... klątwę opinii..... rzadko sprawiedliwej częściej do ogólnikowego potępienia pohopnej.“

Dalej już w N. 115 Kuryera Warszawskiego dowiadujemy się, iż znajduje się człowiek, który spiesząc ku zrealizowaniu tej myśli ofiarowywa rsr. 100, jako nagrodę konkursową za najlepszy tego rodzaju projekt, zachowując incog nito, bo podpisuje się trzema gwiazdkami.

Odezwa tego szlachetnego człowieka brzmi jak następuje:

„Zanim kółko czy towarzystwo materyalnej pomocy i moralnej opieki dla szwaczek, o które Kuryer Warszawski w Nrze 114 się dopomina, uorganizowanem zostanie, sądzę że należałoby nakreślić projekt ustawy, według której to kółko mogłoby się rządzić. Za najlepsze więc napisanie projektu tej ustawy, w kwestyi tak ważną rolę grającej w naszem społeczeństwie, przeznaczam nagrody rsr. *Sto* i upraszam Redakcyę Kuryera Warszawskiego o wybór sędziów do roztrząsania tego projektu, oraz o wyznaczenie terminu do składania artykułów. Termin ten według mojego zdania powinien być o ile możności jak najbliższym. Rzecz bowiem tak ważna nie powinnaby cierpieć zwłoki.“ ***

Redakcya Kuryera Warszawskiego odpowiedziała na to, iż przyjmując z wdzięcznością ofiarę pana ***, ogłosi w tych dniach nazwiska sędziów i termin do składania projektów ustawy.

Chętnie przyklaskujemy tej zacnej myśli i energicznemu jej poparciu przez nieznanego z nazwiska pana ***.

Nie potrzebujemy dodawać, jak jest palącą ta kwestya: ażeby nie miała znaleźć współczucia we wszystkich szlachetnie myślących duszach.

Dalej więc panowie moraliści społeczni i programatorzy ulepszeń takowych—oto jest wyznaczony konkurs z nagrodą w ilości rsr. *Sto*, za napisanie najlepszego projektu ustawy kółka materyalnej pomocy i moralnej opieki dla szwaczek.

Kwestya jest poruszoną, pierwszy krok postawiony, teraz na was panowie przychodzi kolej posunięcia tej kwestyi naprzód i dowie-

dzenia, że szlachetne wasze teorye, mają praktyczne podstawy.

* * *

Ponieważ każda myśl pomocy dla drugich powinna być skwapliwie podejmowaną, podajemy przeto wykazik Biura dla szukających pracy, egzystującego w Warszawie przy ulicy Nowo-Zielnej Nr. 1064 lit. *B*, w którym zamieszczone są tak posady wakujące jak i kandydaci do posad.

DZIAŁ	Posady wakujące.	Kandydaci.
1) Techniczny . .	27	80
w tej liczbie inżynierów cywilnych.	—	6
2) Handlowy . . .	7	106
3) Rolny	77	198
w tej liczbie rządców	10	125
ekonomów i pisarzy	43	34
ogrodników. . .	14	8
4) Naukowy . . .	23	26
w tej liczbie nauczycieli prywatnych.	20	14
5) Ogólny . . .	11	235

Biuro zaznacza brak kandydatów na następujące posady:

Technika — do postawienia pieca do wypalania wapna na torfie, technika do urządzenia huty szklannej opalanej gazami torfowymi, korespondenta technicznego w języku rosyjskim i francuzkim i technika umiejącego kierować fabryką oleju.

NB. Biuro uprasza PP. pracodawców, którzy obsadzili już zapisane przez nich w Biurze posady, jako też PP. pracowników, którzy znaleźli zajęcie bez pośrednictwa Biura, o nadesłanie stosownego zawiadomienia,

* * *

Dnia 20 kwietnia odbyło się posiedzenie wydziału matematyczno-przyrodniczego wKrakowskiej Akademii nauk. Posiedzeniu przewodniczył Dr. Czerwiakowski.

Z prac, będących przedmiotami, pod dyskusyę posiedzenia tego poddanemi, wyróżniała się bardzo sumiennie obrobiona i na długoletniej obserwacyi oparta Dr. Karlińskiego. Była to rzecz „O okresowych zmianach ciepłoty powietrza w Krakowie.“ Przedmiot to niezmiernie interesujący nietylko pod względem naukowych studyów, ale i ze względu na stronę sanitarną życia miejscowego.

* * *

W Krakowie wyznaczoną została w łonie towarzystwa lekarskiego sekcya *hygieniczna*. Na przewodniczącego tej sekcyi obrano Dra. Janikowskiego—na sekretarza zaś Dra Buszka.

Sekcya taka, o ile jej działalność coraz więcej rozwijać się będzie na punkcie obserwacyi strony sanitarnej miasta i okolic kraju przez wyznaczonych ad hoc obserwatorów lekarzy, o tyle pożądaną i niezmiernie pożyteczną będzie. Takie sekcye, takie komisye oddają wielkie usługi społeczeństwu, bo niejako trzymają w swej pieczy zdrowie publiczne, o ile byłoby ono zagrożone z zewnętrznych wpływów.

Taka komisya hygieniczna, któraby lustrowała wszystkie miejsca arteryj życia powszedniego bardzoby się przydała u nas—bo począwszy od restauracyi a skończywszy na wilgotnych lokalach, materyału do obserwacyi i do naprawy byłoby pod dostatkiem. Trzeba tylko, ażeby komisya taka miała moc administracyjno-obowiązującą.

* * *

Wyszedł na widok publiczny tom 2 dzieł Karola Szajnochy i zawiera: *Szkice historyczne z r. 1857.*

Wydanie to równie staranne jak tomu pierwszego i nie potrzebujemy dodawać o ile jest cenne.

* * *

Nowy płód wynalazczej mądrości ludzkiej ukazał się światu. Jest nim maszyna do pisania. Kolebką zaś tego wynalazku jest Ameryka. Maszynerya polegać ma na konstukcyi klawiszowej—kto więc zabierać się będzie do pisania, usiądzie sobie do maszyny jak do fortepianu. Ciekawa tylko rzecz, czy maszyna taka wyda w praktyce szybsze rezultaty pisania aniżeli ręka i pióro. Zdawałoby się że powinna wydać lepsze rezultaty z tego jedynie względu że pierwszym celem każdego wynalazku powinno być ulepszenie. Otóż czy to ulepszenie na punkcie pośpiechu ma rzeczywiście miejsce, wkrótce się przekonamy naocznie. P. Ostrowski bowiem, administrator Warszawskiej fabryki machin, sprowadza to dziecko Ameryki do Warszawy i zamierza podobno urządzić z nim maleńką wystawkę— z której dochód przeznaczonym będzie na cel dobroczynny.

Czekajmy więc na tego nowego przybysza.

* * *

Gazeta „Nowoje Wremja“ podała następującą wiadomość:

„Ministeryum komunikacyi wydrukowało już ustawę nową kolei koluszkowsko-iwangorodzko-dąbrowskiej wraz z dołączającemi się do ustawy anszlagami i warunkami połączenia się nowej kolei z koleją fabryczno-łódzką (wiorst 26), której prezes zarządu p. J. Bloch otrzymuje koncesyę i na nową linję na warunkach bardzo korzystnych i z usunięciem wszystkich innych konkurentów.“

Wkrótce potem, jakby na przekór gazecie „Nowoje Wremia,“ podaje gazeta „Gołos“ wprost przeciwne owej wiadomości, uwagi swoje, które brzmią jak następuje:

„W sferach dobrze poinformowanych uporcie powtarza się wieść, że budowa drogi iwangorodzko-dąbrowieckiej oddaną być ma panu Bloch bez konkurencyi, w nagrodę jego zasług i poniesionych strat w celu doprowadzenia do wzorowego porządku drogi kijowsko-brzeskiej.

Wieść ta sama rzez się rozumie się, potrzebuje jeszcze sprawdzenia, gdyż nieprawdopodobieństwo takowej jest widoczne. Nie mówiąc już o tem, że oddanie koncessyi „za nagrodę“ dotychczas jeszcze nigdy się nie praktykowało, nie ma powodu dla czegoby w danym razie konkurencya była usuniętą. Towarzystwo drogi łódzkiej, którego p. Bloch jest reprezentantem, w każdem razie ma nie więcej praw do budowy drogi iwangorodzko-dąbrowieckiej, aniżeli np. Towarzystwo drogi warszawsko-wiedeńskiej, któremu nawet na zasadzie aktu nadawczego z roku 1857 służy pewien przywilej. Jednakże obiedwie drogi łódzka i warszawsko-wiedeńska mają szerokość dróg austryackich, i z tego powodu nie mogą mieć pretensyi być połączonemi z drogą iwangorodzko-dąbrowiecką.“

„Gazeta Handlowa“ zaś podaje w tej kwestyi wiadomość zgodną z gazetą „Nowoje Wremia,“ — że na odbytem dnia 26 maja posiedzeniu Rady Zarządzającej Towarzystwa drogi łódzkiej, prezes takowej p. Bloch przedstawił piśmiennie przedwstępne (to jest potrzebujące jeszcze zatwierdzenia komitetu ministrów), zgodzenie się ministrów komunikacyi i finansów, na oddanie budowy drogi iwangorodzko-dąbrowieckiej, Towarzystwu drogi łódzkiej, za umówioną cenę 21,300,000 rsr. metalicznych. Termin jednakże udzielenia koncesyi jeszcze stanowczo określonym nie jest, i takowy postawionym został w zależności od ogólnych okoliczności polityczno-finansowych.“

Wiadomość więc o zamiarze oddania koncesyi budowy drogi iwangorodzko-dąbrowieckiej sprawdza się najzupełniej.

Dla publiczności wprawdzie to wszystko jedno, czy ten czy ów pomienioną drogę budować będzie, byle droga wybudowana była dobrze, o wygodnych wagonach i usłudze rzeczywiście usłużnej.

Co do nas, przyklaskujemy każdemu dojrzałemu projektowi komunikacyjnemu w kraju naszym, który jest bardzo ubogi na tym punkcie.

* * *

Bywając w Teatrze, każdy od razu spostrzeże, jak niektórzy z publiczności naszej (przepraszam za wyrażenie) dosyć nieprzyzwoicie znajdują się względem sztuki, artystów i tych wszystkich, którzy uważnie chcą słuchać sztuki.

Nieprzyzwoitość wspomniona polega na tem, że za każdą efektowniej oddaną akcyą artysty, ci panowie klaszczą niemiłosiernie i robią hałas wywoływaniem nazwiska aktora. — Tego rodzaju znalezienie się nietylko nie jest w rzeczywistości nagrodą dla przywoływanego, lecz przeszkodą w grze — ponieważ hałas go ogłusza i dekoncertuje — co znowu przerywa mu wątek należytego oddania akcyi.

Przyzwoitym zaś widzom manipulacya owa objawów zadowolenia, robi ogromną dystrakcyę w najważniejszych zwykle punktach scenicznych.

Tak więc z jednego jak i z drugiego względu, podobnie niecierpliwe objawy zadowolenia bywają grubą nieprzyzwoitością tych wszystkich, którzy hamować zapałów swoich nie chcą i chyba im się zdaje, że tylko sami znajdują się w teatrze.

Niejednokrotnie już prasa nasza zwracała uwagę na podobną nieprzyzwoitość, ale to

wszystko, jak się okazuje, *groch o ścianę*. Ta część publiki jest niepoprawną i nie ma innego sposobu jak poprosić Dyrekcyę teatrów o wystosowanie odpowiedniej odezwy i o rozlepienie jej na wszystkich ścianach teatralnych.

Możeby taka odezwa poskutkowała, tak jak skutkują porozlepiane w cukierniach zastrzeżenia, o niepaleniu cygar i papierosów, lub inne zastrzeżenia o porządku publicznym.

Znalezienie się w miejscu prywatnem ograniczone bywa prawidłami przyzwoitości, również i miejsca publiczne prawidłom takim ulegać powinny. A każdy znajdować się powinien tak, by nikomu nie robić nieprzyjemności. Klaskanie i wywoływanie aktora jest bardzo właściwe, jako objaw zadowolenia publiczności, ale tylko po skończonym akcie, czyli po zapadnięciu kurtyny—pierwej nigdy.

ZIEMIA PRZED POTOPEM.

(Dalszy ciąg.)

Epoka trzeciorzędowa.

Okres Mioceniczny.

Najwybitniejsze cechy tego okresu znajdujemy na lądach. Rozpatrując się w roślinności miocenicznej, napotykąmy w niej mieszaninę typów flory, właściwych palącemu klimatowi Afryki równikowej, z temi jakie występują dziś w Europie środkowej. Krzewiły się naówczas palmy, bambusy, rozmaite gatunki roślin wawrzynowatych, wyżyce, fasola, erytryna, czułki, akacye, rośliny trojnowate i marzanowate, podobne rodzajom pleniącym się obecnie pod zwrotnikami. Wreszcie wystąpiły klony, orzechy, brzozy, wiązy, dęby i graby rozradzające się dziś w krajach północnych. Oprócz roślin jakie tu wymieniliśmy, krzewiły się mchy, grzyby, drzewa figowe, platany i topole.

Ssaki, ptaki i płazy zamieszkiwały lądy. Z nowych rzędów zwierzęcych jakie wystąpiły, wymieniamy małpy, niedoperze, zwierzęta mięsożerne, workowate i gryzące. Z małp przejawia się gatunek *Pilethecus antiquus* i *Mesopitchecus*, z psów gatunki właściwe dziś Brazylii i Guyanie. Zwierzęta amerykańskie, rybety, opossum, szczury i wiewiórki właściwe dziś północnej Ameryce, stanowiły faunę mioceniczną. Kosy, wróble, bociany, czerwonaki i kruki były reprezentantami ptaków owoczesnych. Z płazów węże, żaby, salamandry, przejawiały się po raz pierwszy. Wody słodkie zamieszkiwały okunie, alozy i t. p., ssaki jednak są najważniejszymi przedstawicielami tego okresu, a odznaczają się osobliwym ustrojem i niepospolitej wielkości wymiarami. Do takich należą *Palaeomys*, *Macrothèrium*, *Dinotherium*, zwierz opatrzony olbrzymiemi kłami, oraz kolosalnego wzrostu *mastodunty* pierwotypy dzisiejszych aluwialnych słoni. W okresie miocenicznym przejawiły się niemniej: foki, niedźwiedzie, koty szczury, bobry, tapiry i t. p. zwierzęta dziś się utrzymujące. Z gatunków małp *dryo pithecus*, ustrojem przypominający orangutanga, dorównywał wzrostem człowiekowi. *Mesopithecus*, zaś małpa niewielkiego wzrostu podobną była makakom. *Dinotherium* przerastało olbrzymią objętością ciała wszelkie zwierzęta dotąd istniejące. W roku 1836 znaleziono w kopalni Eppelmskiej (w Wielkiem Księstwie Hesko-Darmsztadzkiem) prawie całkowitą głowę tego jestestwa, z dwoma kłami zajmującemi szczękę dolną. W następnym roku w Paryżu, na ulicy *Vivienne* ciekawi mogli przyglądać się do woli tej osobliwości paleontologicznej. Głowa tego zwierza miała $4^1/_2$ stóp długości a $3^1/_2$ szerokości. Ogromne kły zakrzywione ku dołowi jak u morsa występowały ze szczęki dolnej. Zęby trzonowe miały wielkie podobieństwo z właściwemi tapirom. Olbrzymie zagłębienia pod oczodołami w połączeniu z kształtem nosa, wskazują, że zwierzę to opatrzone było trąbą i całą swą postacią przypominało dzisiejszegn słonia, jak to zresztą łatwo wnosić można z budowy kości łopatkowej Dinotherium, jaką w pokładach miocenicznych znaleziono. Kolor ten zbliżał się ustrojem do mastodonta, był zwiastunem słonia aluwialnego, a wymiarami ciała przechodził mastodanta i mamuta. Pomimo swego ogromu, zwierz ten był wielce łagodnych obyczajów, zamieszkiwał pobrzeża wód słodkich. Roślinnożerny równie jak słoń, używał jedynie trąby do chwytania roślin rozpościerających się na powierzchni wody, a obok tego posiadając osobliwe upodobanie do ich korzeni roślinnych, podobnie jak cała klasa gruboskórnych do których należał, wyrywał je z pomocą potężnych swych kłów z łożyska wodnego i miażdżył z łatwością w ogromnej swej paszczy. Mastodont kształtem i wielkością przypominał naszego słonia, z tą tylko różnicą, że był nierównie dłuższym od niego i nogi miał grubsze. Zresztą kły i trąba były cechami tego gruboskórnego olbrzyma. Różnił się wszakże od słonia ustrojem zębów, które miały kształt prostokątny i na powierzchni przedstawiały koronę wielkich wyniosłości stożkowatych, na końcu zaokrąglonych, ułożonych w cztery lub pięć par odpowiednio do gatunku. Podobnemi są wielce do nich w tej mierze zęby hipopotama.

W połowie ubiegłego wieku, powzięto pierwsze wskazówki o istnieniu mastodanta. W roku 1739, oficer francuzki Longueil, przedzierając się do Missisipi przez dziewicze lasy ukrawędniające wielką rzekę Ohio, napotkał na pobrzeżu bagniska, mnóstwo kości należących do nieznanych gatunków zwierzęcych. Do torfowiska tego, zwanego przez krajowców *wielkiem jeziorem słonem*, wpada wiele strumieni przesyconych solą, i od najdawniejszych czasów zwiedzanych przez zwierzęta pociągane tu smakiem soli.

Taką jest prawdopodobnie przyczyna, która w tem miejscu nagromadziła tak wielką ilość kości czworonogów, żyjących w najodlejszych epokach kuli ziemskiej.

Kości te pogrążały się naturalnie w błotnej topieli tego jeziora, i znikały w jego łożysku. Longueil zebrał niektóre ich szczątki, i złożył je za powrotem do Francyi Daubentonowi i Buffonowi. Okazy te składały się z uda, kończyny, kła i trzech zębów trzonowych mastodanta. Daubeuton po zbadaniu tych szczątków orzekł: że zęby należały do hipopotama, a kły i udo do słonia. Innego był zdania Buffon. Według niego wszystkie te szczątki pochodziły z olbrzymiego słonia rasy nieznanej, żyjącego w pierwotnych wiekach ziemi. To kopalne jestestwo oznaczył Buffon nazwą *słonia z Ohio*, przypominającą amerykańskie pochodzenie tego okazu. Wszelako francuzki naturalista pomylił się w określaniu kolosalnych wymiarów tego zwierza, gdyż nie przechodził on bynajmniej wzrostem dzisiejszego słonia.

Odkrycie to zachęciło Anglików owoczesnych panów Kanady, do poszukiwań. Jeograf Crohaw *w wielkiem jeziorze słonem*, wykrył podobne kości, a Collinson, przyjaciel Franklina, przesłał Buffonowi ząb trzonowy tegoż zwierzęcia.

Wszelako dopiero w 1801 roku, znaleziono całkowite szczątki *słonia z Ohio*. Amerykański przyrodnik Peale, stał się właścicielem dwóch przepysznych tego rodzaju okazów. Barton profesor uniwersytetu w Pensylwanii w głębokości sześciu stóp pod pokładem kredy, znalazł prawie całkowity szkielet mastodonta. Jeden ząb tego zwierzęcia ważył blisko cztery funty polskie. Wykopalisko to było tem szacowniejsze, że w pośród kości w części workowatej, reprezentującej zapewne żołądek zwierzęcia, wykryto masę roślinną wpół rozmiażdżoną, złożoną z gałęzi i liści, w pośród których rozpoznano gatunek sitowia pospolity dziś w Wirginii. Widocznie zatem ten kolos gruboskórny żywił się podobnemi roślinami i znalezione w żołądku jego dowodzą, że spożył je na krótki czas przed śmiercią.

Mieszkańcy Ameryki północnej nazywają mastodonta *ojcem wołów*, jak o tem podaje Fabri oficer francuzki w liście pisanym do Buffona w 1747 roku. Dzicy z Kanady i Luizyany przystępują z wielką uroczystością do szczątków mastodonta, śpiewając pieśń następnej treści:

„Gdy wielki Manitsi zstąpił na ziemię dla przekonania czy istoty przezeń stworzone były szczęśliwemi, zapytywał o to wszystkie zwierzęta. Bizon mu odpowiedział, że byłby zadowolony ze swego losu, i z tłustych pastwisk jakie przechodzą do jego żołądka, gdyby nie był zmuszony ciągle zwracać oczu na górę, z której szczytu rzuca się zapalczywie *ojciec wołów* aby go pożreć z rodziną.“ Według legendy utrzymującej się u krajowców Wirginii, olbrzymie słonie były niszczycielami wszelkich zwierząt, z których użytkowali Indyanie, i Bóg wytępił te potwory pociskami piorunowemi. Jeden z nich wszakże powiadają, uniknął śmierci, nadstawiając piorunom głowę, i strząsając je na ziemię, wreszcie zraniony ukrył się w wielkich jeziorach, gdzie dotąd pozostaje.

Wszystkie te naiwne tradycye, dowodzą tego tylko, że mastodonty żyły w epoce wielce od nas odległej. W rzeczy samej były one poprzednikami mamutów współczesnych już człowiekowi. Cuvier nadał *słoniowi z Ohio* nazwę *mastodonta*, oznaczającą zwierza *z zębami pagórkowatemi*, szczątki tego kolosu wykryto nie tylko w Ameryce lecz w Europie. Kronika ich znalezienia jest dość zabawną.

*

W 1613 roku, robotnicy pracujący w kopalni piaskowca niedaleko Chaumont w Delfinacie, między miastami Montricourt i Saint-Antoine, na lewym brzegu Rodanu, wydobyli z warstw ziemnych kości kopalne. Felczer miejski Maruyer nabył te kości i ogłosił, że znalazł je w grobowcu, na którym był położony napis: *Teutobocehus Rex*, a nadto w tym grobowcu miał znaleść mnóstwo medalów z wizerunkami Maryusza. Wiadomo z historyi, że Teutobocehus król Cymbrów, zaborca Galiii, pokonany przez Maryusza i wzięty do niewoli, szedł za wozem tryumfalnym wodza rzymskiego. Maruyer przytem powoływał się na świadectwa pisarzy rzymskich, według których królewski jeniec przewyższał wzrokiem trofea wiezione i dodawał, że szkielet miał 25 stóp długości, a 10 szerokości.

Szarlatan nie poprzestając na tem, obwoził po całej Francyi i Niemczech mniemane zwłoki władcy Cymbrów, a nawet okazywał je Ludwikowi XIII. Kolosalne kości wywołały jednak spory między uczonymi, a w polemice wywiązanej między nimi, najwięcej odznaczył się Riotan anatom, który nie przestawał utrzymywać, że należały one do słonia.

Habicot lekarz dość lichy, był najzapalczywszym przeciwnikiem Riolana. Jezuita Jakób Tissot wydał broszurę popierającą Maruyera, lecz Gassondi okazał, że medale Maryuszowe były podrabianemi.

Rzecz dziwna, że szczątki te mieszczące się dziś w szafach muzeum historyi naturalnej w Paryżu, gdzie każdy może je oglądać, przedstawiają tak charakterystyczne cechy zwierzęcia gruboskórnego, że trudno przychodzi nawet pojąć jak mogły być przedmiotem sporów. Szczęka dolna uzbrojona potężnemi kłami nie mogła przecież należeć do człowieka. W 1832 roku kości te badał Blainville, i uznał je za szczątki mastodonta.

Małpy jak przytoczyliśmy wyżej, wystąpiły w okresie mioceniczym. Szczątki *Dryopithecus* równie jak *Pithecus antiquus*, wykrył Lartet w kostnicy Sansan, a Gzudry znalazł pierwszy gatunek w warstwach miocenicznych pihermijskich w Grecyi. Morza tego okresu zamieszkiwane były przez jestestwa całkiem nieznane późniejszym epokom geologicznym. Z mięczaków brzuchopełzowych czyli ślimaków przejawiły się gatunki: *Eonus Turbinella*, *Ranella*, *Dolium*, z dziurkowców: *Potystomella*, *Dendritiona*, *Bolivina*, ze skorupiaków: *Pagurus*, *Astracus*, *Portunus* etc.

Okres ten wielu cechami przypomina nam węglowy, w warstwach bowiem miocenicznych wyformował się węgiel brunatny, zwany *lignitem*, a w skutek zapadania pokładów ziemnych w topiele bagniste. Lignit mioceniczny, posługuje za materyał opałowy w Niemczech, zastępując miejsce węgla. Pokłady lignitu dochodzą niekiedy 70 stóp pols. grubości.

W lignitach znachodzimy materyą żółtą zwaną *bursztynem* czyli żywicą kopalną, jaka wyciekała z drzew w czasie epoki trzeciorzędowej. Fale morza Baltyckiego wydzierają lignitom łożysko tego morza stanowiącym bursztyn i wyrzucają go na pobrzeża. Od wielu też wieków Baltyk jest dostawcą dla handlu tej żywicy kopalnej. Już Fenicyanie przybywali w te strony dla zaopatrzenia się w bursztyn, wielce cenny w starożytności. Bursztyn dziś nie jest wcale drogim, lecz pozostaje niemniej ważnym produktem paleontologicznym. Znajdujemy w nim często uwięzione owady, które przedziwnie przechowały w tej żywicy tak właściwą im barwę jak i kształty, bursztyn zatem ujawnia nam postacie jakby żywe jestestw, które żyły w okresach geologicznych, zapoznając nas z ich ustrojem. W utworze miocenicznym obok wapieni, piaskowców, iłów, glin przeróżnych i margli, natrafiamy, zwłaszcza w Szwajcaryi, zlepieńce wytworzone ze zwiru i wapna zwane *Nagelfluch*. W pokładach miocenicznych znachodzimy obok lignitów, sól kuchenną, jak to ma miejsce w Polsce, Rossyi i Siedmiogrodzie.

W Polsce wykryto lignity w wielu miejscach, jako to: między Kromołowem, Pilicą, Siewierzem i Częstochową, około Dobrzynia nad Wisłą w Kujawach w pobliżu Brzeźna w powiecie Konińskim, około Niekłania w opoczyńskiem, Miłkowa w opatowskiem, i na całem Podgórzu karpackiem, w obwodzie wadowickiem i sądeckiem. Szczątki drzewa *pence succinifera*, z którego wyciekająca żywica głównie wytworzyła bursztyn w epoce trzeciorzędowej, napotykamy w okolicach Łomży, Ostrołęki i Brześcia-Litewskiego. Sól kuchenna, ten najpoważniejszy pokład formacyi miocenicznej, osadzonej przez morze, złożony z warstw poprzegradzanych iłem i gipsem czyli tak zwanym *anchydrytem*, napotykamy w Bochni, Wieliczce i w innych miejscowościach już mniej w sól zasobnych. Na pokładach soli w Polsce spoczywa zwykle gruba warstwa gipsu, pokrytego najpowszechniej gliną lub warstwą ziemi rodzajnej. Sól naszę należy odnieść do utworu trzeciorzędowego, z tej też epoki niewątpliwie pochodzą jej kopalnie w Bochni, Wieliczce w obwodzie wadowiekim i na całem Podgórzu karpackiem. Sól w Węgrzech napotykana, a mianowicie w komitacie Marmaroskim, równie jak w Siedmiogrodzie, pochodzi z okresu miocenicznego, sól zaś niemiecka sięga formacyi permskiej i tryasowej. Siarka i gips niemniej są przedstawicielami rozpatrywanego przez nas okresu. Siarkę napotykamy w Swoszowicach nad Wisłą i w Czarkowach nad Nidą, tu i tam bywa pomieszaną, z marglem, z którego ją trzeba oczyścić. Gips znajduje się u nas w Krakowskiem, Miechowskiem i Stopnickiem, w Kujawach, Litwie, na Wołyniu i Podolu, tudzież nad Dniestrem w obw. Brzezańskim i Czortkowskim.

Obok tego w dwóch pierwszych okresach epoki trzeciorzędowej, wytworzyła się *nafta ozokeryt* czyli wosk ziemny i asfalt. Nafta wyciekająca z Karpat zachodnich należy do utworu eocenicznego, napotykana zaś w Karpatach wschodnich, pochodzi z miocenu.

Pokłady mioceniczne znachodzimy w hrabstwie Suffolk i Norfolk w Anglii około, Bordeaux we Francyi, w Tuzzaine i Langwedoku, w Niemczech w okolicach Wiednia i Moguncyi, w Styryi i Tyrolu, tudzież poniżej południowych stoków tatrzańskich. W środkowej Polsce formacya ta obejmuje znaczną przestrzeń między Korytnicą, Chmielnikiem a Staszowem.

(d. c. n.)

NIEWOLNIK.

Szkic powieściowy.

(Dalszy ciąg.)

„Przelotny uścisk tak rzadki, szept jej ust drżących, uśmiech pełen zachwytu i lubości, pieszczotliwe słówko—to moje skarby za któremi w piekło bym skoczył.—Długie godziny przepędzane sam na sam, — szczęśliwszym w niebie być nie można. Myślę o niej nieustannie, coraz silniej kocham, coraz bardziej uwielbiam i coraz goręcej. O uczuciach nie śmiem jej mówić—ona każe mi panować nad sobą—powiada że nam kochać się niewolno. Widując się codziennie pisujemy przecież do siebie—nasze myśli potrzebują ciągłego podziału, każdy najdrobniejszy szczegół niezmiernego świata miłości, ma dla nas większą wagę nad wszystko obce co nas otacza“.....

..... „Z Janem przyszliśmy do gorącej utarczki. Spodziewałem się tego i oczekiwałem od dawna. Zmienił się od jakiegoś czasu... Widziałem dobrze że kryje coś pod powłoką zwykłego sobie spokoju: w zajmowaniu się mną dostrzegałem jakąś nienaturalną gorliwość. Dawnej szczerości nie mogłem żądać, nie mogąc mu wywzajemniać się otwartością, a stosunek taki gniótł mię ciężko. Miałżem mu mówić prawdę— aby usłyszeć zimne morały? Od niedawnego czasu zaczął rozciągać nademną jakąś arbitralną władzę, gniewało to mnie, tembardziej że i Leokadya nie lubi Zawady.

Spotkałem go dziś prawie u drzwi Leokadyi—musiałem iść z nim. Z twarzy jego przeczuwałem że chce mi powiedzieć coś stanowczego, widziałem iż domyśla się mej tajemnicy, więc rozpocząłem wesołą pogawędkę o niczem.

— Wszysto to dobrze, rzekł mi, ale ja nie na tom cię dziś tu spotkał aby Bóg wie o czem gawędzić...

— Gdzieś szedł?

Zawrzałem oburzeniem na tak despotyczne pytanie.

— Wiem, nie potrzebowałem cię pytać — przyszedłem tylko stanąć przed tobą i cały twój rozsądek, wszystko czem się szczyciłeś, wszystko co wyższego upatrywałem w tobie wezwać do odpowiedzi: Czemu kłamiesz przedemną i przed sobą? Czemu idziesz z otwartemi oczami w kałużę, będąc już na dobrej drodze?

— Nie kłamię, zawołałem, i gotów jestem wyznać ci, żeś mię zrozumieć już niezdolny. Idę drogą własną, i nie uznaję niczyich praw do przemawiania do mnie w ten sposób.

— Ja mam to prawo. Znam ją już, ale ciebie chcę ostatecznie poznać...

— Oszczędź mi nauk, nie sądź, że na ciebie przelano jakąś władzę nademną.

— Karolu! zawołał Jan, ja nie chcę z tobą walczyć bronią gniewu lub nizkiej złośliwości. Powiedz mi tylko, tak jakbyś musiał powiedzieć w obec swego sumienia: Czemu się walasz w błocie?

— Nie przemawiaj takiemi słowy, rozumiesz! krzyknąłem ze wściekłością. Nie ra-

dzę ci raz jeszcze w taki sposób wyrażać się o tej za którą życie bym oddał. Mądrość twoja mój panie za ciasna na pojęcie jej wartości.

— Aha! — bagno stroi się w kwiaty!

— Milcz! zawołałem trzęsąc się z oburzenia.

— Szaleniec jesteś, pijany. Pamiętaj. — Ja się nie obrażam, ja wszelkich sił dołożę aby cię wybawić. Pamiętaj, teraz tylko, bagno stroi się w kwiaty....

„Z oburzeniem i wstrętem notuję te słowa aby mu kiedyś pokazać obelgi jakie rzucił na nią w zaślepieniu. *Ona*, gdym jej to powtórzył, uśmiechnęła się boleśnie, ze łzami rzekła mi: „on twoje szczęście po swojemu pojmuje, rani mię boleśnie, ale mu przebaczam. Jeżeli wierzysz mu porzuć mię, może będziesz szczęśliwszy.“ O święta!“....

....„Przyjaźń przemogła. Jestem tak szczęśliwy, że nie ma we mnie miejsca na nienawiść. Zresztą możeż brać za złe Janowi to co jest dowodem jego serca. Zawdzięczam mu tyle, winnym się czuję przeciw niemu. Pobiegłem do niego i nic nie mówiąc rzuciłem się mu na szyję. Przebaczył mi wszystko jakby nic nie znaczące nieporozumienie i zasiedliśmy obok siebie w jego pokojku zacisznem. Dawna swoboda, dawna szczerość zawitała na nowo. Jan spokojnie z uwagą słuchał moich opowiadań o Leokadyi, nie walczył ze mną. Milczał w łagodnem zamyśleniu. Rozmowa zeszła potem na jego rodzinę — ośmieliłem się zapytać o Helenkę.

—„Helenka taka sama jak zwykle, rzekł (nie patrząc mi w oczy). Odbieram od niej listy prawie co tydzień. Pracuje wraz z matką przy gospodarstwie — uczy Franię i kilkoro dzieci naszych domowników, uczy się sama, czyta coraz więcej, pracuje nad botaniką z pewnym fanatyzmem już prawie. Tę paczkę książek mam jej posłać jutro. Milczałem z uśmiechem serdecznego zadowolenia, Jan tymczasem przeglądał list jakiś, potem złożył go tak że tylko jedna jego cząstka była widoczna i podał mi. Spostrzegłem że był wzruszony. Słowa które wyczytałem były bardzo proste, pismo było Heleny. Zapytywała go, czemu jej nic o mnie nie donosi, czy nie przyjadę na zbliżające się parę dni świąt do Zawadówki..... Chciałem dalej czytać ale Jan nie dał mi i zamknął list z dziwnym jakimś pośpiechem. Ogarnęło mię tęskne usposobienie—pytać nie śmiałem, niepewność—żal jakiś ujął mię za serce. Jan starannie unikał już najlżejszej wzmianki mogącej dotyczeć uczuciowej strony. Wymawiał mi tylko zaniedbanie nauk—dał mi parę świeżych dzieł poważnych do przeczytania, o ich treści rozmawialiśmy—a na odchodnem, dopiero w dość zagadkowy sposób napomknął że z dowodem w ręku okaże mi wkrótce jak dalece jestem pod panowaniem złudzeń. Obchodzi się ze mną jak z chorym, coś zamyśla, cóś kryje—ale co?“......

..... „Nie ma wątpliwości! Długom się dręczył myślami a dziś starszy jestem o kilka lat gorzkich rozczarowań. Przyjaźni! jestżeś ty szyldem brudnego interesu!.... Wszystko co zacne, co szlachetne czyliż zawsze musi wspierać się na nizkich widokach i w nich się pogrążać? Jak to bolesne, jakiż to zimnych lód ogarnia serce na myśl..... że tylko rachuba i tylko rachuba wszędzie, a jak wyrafinowana!

„Leokadya zna świat bo „jadła jego zatrute kołacze“ — jedno jej słowo wyrzeczone niechcący uchyliło mi fatalną zasłonę przed oczyma. Nie chciałem wierzyć, zagłuszałem długo głos rozsądku, lecz dziś po długiem wątpieniu mam już tylko pełną duszę spokojnego szyderstwa..... bez gniewu. Bo znów sądząc wedle praw rozsądku nie ma w tem tak wielkiej zbrodni, jaką odczuwać by można, wedle miary czystszych szlachetnych uczuć. Interes jest uczciwy.

„Leokadya rzekła mi niedawno: — Zawada pragnie twego szczęścia, cóż dziwnego że marzy o tem aby cię uczynić dobrym mężem dla swej siostry? Jest człowiekiem sumiennym, a w postępowaniu jego widzę wiele taktu, wiele rozumu i zręczności uczciwej. Podobno lepiejbyś wyszedł na jego przyjaźni i miłości dla czystej, ładnej, dobrze wychowanej dzieweczki — niż na uczuciu dla kobiety steranej walką życia, w przeszłości której lada plotkarz potrafi znaleźć pozór do rzucania na nią błotem.

Leokadyo! Tyś mi już jedna na ziemi. Chcę walki z całym światem: nie boję się podłości, płaskiego rozumowania, praw przewrotnych, więzów bezprawia, głupoty i nicości. My sami! „Kochaj mię tylko królowo moja—ty mi za świat starczysz, ja walczyć będę za ciebie i za siebie. Okażę żem lepszym od was wszystkich i od was wszystkich szczęśliwszym“....

..... „W zachowaniu się względem Jana poznaję dzikiej przyjemności. Nie jest że to prawdziwa satysfakcja z wyżyny módz spojrzeć na tego, który mozolne sidełka na nas zastawia, z całą dumą i powagą dobroczyńcy! Uczyniłem sobie zeń zabawkę szatańską doprawdy, słuchając jego słów pełnych mądrości do których klucz spoczywa na mych piersiach. Zadaję sobie trud udawania, iż powoli nawracam się na prawą drogę — to jest zniechęcam się do Leokadyi — zagaduję go o Helenkę— on mi daje pełne skromności półsłówka że jest mi bardzo życzliwą, homeopatycznie powiększa mi dozy nadziei, które podaje w całych beczkach bardzo pięknych dążeń, prac, rad i zachęcań! Biedny ty! bo ja jestem jak widz patrzący z boku na zręczne sztuki kuglarza.

„Wyborny! dał mi daleką otuchę że może, może weźmie mię z sobą na parę dni przyszłych wakacyi, jeżeli“.....

.... „Biedna Leokadya! nigdy nie pozwoliła mi wglądać w tajniki swych potrzeb domowych, a wiem skąd inąd ile ją trudności otacza, jak pracować musi, jak oszczędzać aby utrzymać swą godność niezależną. Tysiącznych zabiegów używam aby niepostrzeżenie kierować ręką Opatrzności dla niej. Jak się dziwi, jak cieszy lada drobnostką którą jej zręcznie podsuwam. Jeszcze półtora roku czekać muszę do pełnoletności, półtora roku długie jak wieki! Tymczasem możęż obojętnie patrzeć na jej mękę, z którą duma odkryć się jej przedemną nie pozwala! Jan—zrozpaczony musi być o mnie, czy też nowy jaki zamiar knuje. Przyniósł mi list ze Lwowa i z uśmiechem podał mi go, podkreśliwszy wiersze czerwonym ołówkiem. Rzuciłem list w ogień nie czytając, i pierwszy raz zmierzyłem *przyjaciela* wyzywającem spojrzeniem. — Jesteśmy z sobą w bardzo naciągniętym stosunku—ciekawym co dalej będzie....“

Tu kończył się pamiętnik. Karol odrzucił go na stronę z gniewem i zerwał się z miejsca.

— Co dalej będzie? powtórzył półgłosem przez zaciśnięte zęby — i dopiero czytany zwitek papieru rzucił na dogorywające ognisko.

— Czym się mógł spodziewać że do tak podłych środków, jak anonym, ucieknie się ów drogi, nieoceniony przyjaciel i anioł opiekuńczy?....

—On w spokoju swego pracowitego sumienia nie wie zapewne że przyspieszył tylko krok mój stanowczy. On myślał że się ulęknę i jak dziecko poddam się z pokorą biegowi rzeczy. Zmuszacie mię do kroku przed którym wzdrygałbym się może, dodajecie mi siły, przywodząc mię do ostateczności!

Młody człowiek usiadł znów. Zagryzając usta i trąc czoło zaczął stawiać na papierze— nie słowa już, lecz cyfry; oczy jego nabrały złowrogiego wyrazu, zamyślenie miało ochydną cechę gotującej się na dnie sumienia zbrodni.

Potrzeba w krótkości dopełnić treść przerwanego dziennika. Przerwa w nim równie jak w dziejach namiętności panującej już wszechwładnie nad młodym Skarzyckim, spowodowana była niespodzianem przybyciem jego ojca i bazzwłocznem zabraniem go na wieś.

— Wiem o wszystkiem, rzekł stary Skarzycki znalazłszy się z synem sam na sam. Nie czas teraz robić ci wyrzuty — sam zbłądziłem zresztą uwierzywszy w twoje dobre zamiary. Potrzeba było przed pół rokiem zrobić to co teraz dopiero robię. Szkoda słów do ciebie paniczu, zbieraj mi się zaraz, jutro rano jedziesz ze mną do domu. Żadnych tłomaczeń, żadnych scen—rozumiesz! Spodziewam się że nie zechcesz robić skandalu. Jeden godny człowiek znalazł się co mię oświecił o twych postępkach, o twych „zacnych dążeniach.“ Kwita z mądrości, z nauk, opieki, szaleństw i nadużywania wiary rodzicielskiej. Ani słowa! Staraj się jak najspokojniej zachować, bo jestem na wszystko przygotowany. Niech mój wstyd nie rozszerza się przynajmniej, jeśliś ty go już stracił.

Stary Skarzycki o tyle zapanował nad sobą iż oszczędził wyrzutów pp. Karpowiczom, zabrał natychmiast ogłuszonego nagłą katastrofą syna do hotelu i tu zostawił go w osobnym pokoju z Bonkiem.

Ten umiał uśmierzyć rozpaczliwe rzucanie się siostrzeńca.

— Kochasz ją? — Bardzo pięknie, czyliż to ja się nie kochałem? Odkochasz się równie łatwo jak każdy... Powiadasz, że ją kochasz prawdziwie, na to się zgadzam. Wolno ci kochać prawdziwie. Tylko uważ to, że dotąd nie masz wolności rozporządzania sobą, gdy dojdziesz do lat, ożenisz się z nią, jak ci się podoba, ale teraz nie narażaj się na śmieszność; gdzie nie można przeskoczyć trzeba podleść. Wściekasz się na tego kto ojcu doniósł to wszystko; wierzę ci mocno, choć w gruncie rzeczy jest-to prawdziwy twój przyjaciel. Kto? nie wiem dalibóg, bo się nie podpisał. Wyjść ci nie pozwolę, zresztą powiem ci otwarcie, że obstawieni jesteśmy wartą, ale zrobię ci ustę-

pstwo, pozwolę ci napisać kartkę do niej i przynieść odpowiedź; widzisz, robię dla ciebie co mogę, bo pojmuję w jak przykrem zostajesz położeniu. A teraz nie płacz, bo to wstyd na mężczyznę, co już chce żyć na swoję rękę. Pobyt w domu nie będzie ci niewolą, ręczę, ojca przeproś formalnie jak wrócisz, matka nie wie o niczem. Jeśli utrzymasz takt to po paru miesiącach będziesz mógł nawet odwiedzać swoję boginię. Cóż nie uśmiechasz się nawet?

— Stryju jeszcze o jedną łaskę cię proszę, zawołał Karol, przerywając swój rozpaczliwy spoczynek. Pozwól mi kilkoma słowy pożegnać mego najserdeczniejszego przyjaciela. Przyjaciela, z którym dzieliłem się każdą myślą! Zbyt boleśnie byłoby mi nie pożegnać go, nie uściskać choć listownie. Pozwolisz stryju na tę potrzebę mego serca? O Janie najdroższy, czemuż cię uściskać nie mogę!

— Napisz, odparł stryj, możesz się z nim nawet widzieć, tylko uspokój się już. Jesteś jak w gorączce, uspokój się, wyglądasz jakbyś miał początki szaleństwa.

Za chwilę dwa listy poniósł posłaniec. List do Leokadyi został bez odpowiedzi, list drugi zwrócony został zmięty lecz wyprostowany nieco z napisem u spodu: „Obelga. Wzywam cię przed sąd sumienia, jeżeli się kiedy w tobie odezwie. Do tłomaczeń nie zniżę się nigdy przed tobą.”

Przez parę tygodni Karol już pozostaje w domu rodzicielskim. Rady stryja zapewne tak dobrze poskutkowały, bo oprócz chwilowych roztargnień, najtaktowniejszym okazuje się chłopcem. Po załatwieniu przykrej sceny przeprosin w gabinecie ojca, nawet względem niego w swobodnym zupełnie zostaje stosunku; jeździ na polowania, odbywa wizyty w sąsiedztwo i bardzo gładko wchodzi w prawa młodego obywatela. Sława szkolnych awanturek dodaje mu nieco uroku w towarzystwie kobiet, gdzie bardzo jest śmiały, w gronie mezkiem okazuje się zuchem, nie boi się kieliszka, ma żyłkę myśliwską po ojcu, a dowcip nad wiek doprawdy.

Jakże sobie wytłomaczyć ten jego wieczór przepędzony samotnie? Widzieliśmy tam obrazek wewnętrznego życia Karola. Z Leokadyą utrzymuje stałą korespondencyą, a oto jej list ostatni:

„Odkąd odjechałeś, smutek i boleść otacza mię nieustanna. Opuściłam ręce i patrzę na spadające na mnie ciosy z poddaniem się zasłużonej karze. Jeśli cierpię przez miłość moją nieszczęsną, to cierpię zasłużenie, bom zawiniła ciężko. Nie stanęłam-że na twej drodze, nie przyczyniłam-że się do zwichnięcia twej przyszłości, przykuwając twą młodą, rwącą się do życia duszę, do duszy mojej biednej, zbolałej. Myśmy nigdy zejść się nie byli powinni, zawiniłam ciężko. Opuścisz mię, powinieneś opuścić: obowiązkiem moim jest prosić cię o to, co dla mnie będzie zasłużonym ciosem ostatnim. Łzy zasłaniają mi wzrok, ręka kostnieje wśród zimna. Opuścili mię wszyscy za sławę jaką tu miłość twoja dla mnie znalazła. Zdaje mi się że choroba piersiowa zaczyna robić postępy. Nie poznałbyś mię, tak zmizerniałam i zbladłam. Bezbronnością moją ośmieleni, nachodzą mię przyjaciele nieznani.. O mój drogi! ja bardzo cierpię...

„Za parę dni wyjeżdżam stąd, bo żyć tu już nie mogę. Może Bóg da że umrę niedługo, życie tak straszne przedemną, tak puste... Może wymodlę jeszcze u Boga przebaczenie mi za to, żem pożądała nienależącego się mi szczęścia, może wymodlę je dla ciebie. Nie pisz już do mnie, bo list nie dojdzie. Twoje serce zadrży może na myśl o takiem rozstaniu, wierzę iż mnie kochasz, staraj się przygnębić to uczucie nieszczęsne, staraj się zapomnieć... bądź szczęśliwym. Mnie ginąć słuszniej się należy, to jedyna ofiara jaką dla ciebie mogę uczynić.”

Ten list straszliwy, z rzewną rezygnącyą i pełen niemego wyrzutu, różny duchem i treścią od poprzednich, był rozpalonem żelazem, przyłożonem do piersi młodego człowieka, który aczkolwiek kryjący zawsze swą miłość, myśli i zamiary pod maską swobody umysłu uspokajał się już mimowiedzy, a plany swe na szerszy przeciąg czasu rozkładał. Karol nie zmrużył oka przez noc całą, czynił jakieś przygotowania, pisał lub w gorączkowych poruszeniach chodził po swoim pokoju. Ogień już wygasł na kominie, błękitna przejrzysta barwa świtu przeglądała przez szyby, gdy padł na łóżko nie rozbierając się wcale. Dzwonek z kaplicy zadźwięczał wśród ciszy. Karol okręcił się z głową, a gdy ruch rozpoczął się w domu, on wszedł w codzienny tryb życia spokojny i wesoły jak zwykle.

Piękny był dzień zimowy, śnieg świeżo spadły w nocy wróżył najpomyślniejsze polowanie ułożone wczoraj. Ruch zapanował we dworze, rozesłano zaproszenia do sąsiadów, przygotowania do wyprawy zdawały się być żywiołem panicza. Krzątał się rzeźwo, wydawał rozkazy, wraz ze stryjem Bonkiem wyręczał ojca zajętego przybywającemi gośćmi. Gajowi najpomyślniejsze zdali relacye z przygotowań poczynionych do obławy, wyruszono też z pośpiechem do lasu. Karol w pełnym rynsztunku myśliwskim krzątał się jeszcze czas jakiś po domu, wreszcie wydawszy rozporządzenia domownikom co do wysłania dla myśliwych przyjęcia — skoczył w czekające u ganku sanki i szybko podążył za obławą.

Wieczorem, w najlepszych humorach powróciła myśliwska wyprawa. Ktoś zwrócił uwagę na nieobecność Karola, spodziewano się, że należy de opóźnionej gromadki, lecz gdy i ta przybyła nic o nim nie wiedząc, niepokój ogarnął ojca. Wkrótce po konferencyi z bratem, pan Skarzycki wymówił się nagłą niedyspozycyą przed gośćmi, szepty, domysły i głosy oburzenia zaczęły krążyć, a nim jeszcze rozjechało się zaintrygowane zagadkowym wypadkiem towarzystwo, Bonek skrycie, co koń wyskoczy, podążył do najbliższego pocztowego miasteczka. Przez parę dni następnych dworska służba szeptała o ucieczce panicza. Bonek powrócił wreszcie sam, a po całej okolicy gruchnęła wieść, że młody Szarzycki zabrawszy ojcu parę tysięcy rubli, uciekł za granicę z kochanką.

. . . .

. . . .

IX.

Gdy tym wypadkiem rozbudzane echo oburzenia, rozlega się w całym powiecie i po za granicę jego sięga daleko, przenieśmy się do Zawadówki. Tu nie doszła jeszcze wieść o gorszącym czynie Karola, czemuż imie jego słyszymy wspominane, wśród smutniejszych niż zwykle ścian domku pracowitej rodziny?

Kołowrotek gospodyni spoczywa bezczynnie, ona smutna siedzi ze spuszczoną głową, stary Zawada kroczy po izbie, daremnie usiłując otrząsnąć się ze wzruszenia wyrytego na stroskanej jego twarzy. Zatrzymuje się niekiedy u okna i w roztargnieniu patrzy na zamieć sypiącą śniegiem. Przez ścianę słychać cichy płacz nieutulony.

— Mów co chcesz Róziu, ja po staremu wierzyć będę, że są ludzie od urodzenia przeklęci, czyli od kolebki ciągnący za sobą jakąś zarazę nieszczęścia. Ludzie ci są plagą wszystkich, co z nimi zetknięci w jakibądź sposób. O są! Trzeba by im na czole wybijać piętno czarne, aby każdy oczy odwracał od nich. Jeżeli się do ciebie zbliża taki potępieniec w szczęściu, odepchnij go; jeżeli tonie, uciekaj; niech ginie bo mu ginąć przeznaczono.

— Żal i gniew cię zaślepia mężu, odparła niewiasta, mówisz słowa niezgodne z sumieniem.

— O! ja litości czuć nie mogę. Oburzałem się kiedyś na Izraelitów, że trędowatych wypędzali na puszczę, ale dziś rozumiem. Cóż dziś robią z dotkniętymi wścieklizną? Nie! wołał stary zapalając się własnemi słowy. Napadnięty filozofować nie może, ani poświęcać siebie i najdroższych sobie dla zachowania szaleńca. Może nie mam prawa w łeb mu palnąć jak psu, gdy się na mnie chce rzucić?...

— Ciszej, szepnęła kobieta, wskazując na sąsiedni pokój, skąd silniejszy choć stłumiony płacz słychać się dawał.

Zawada przymknął drzwi z troskliwością i dalej mówił, miarkując swój silny organ głosu zmącony zwruszeniem:

— Jakieś złe przeczucie tknęło mnie zaraz gdym się dowiedział o najpoczciwszych chęciach Jana względem tego Szarzyckiego, o jego staraniach dla dobra obiecującego lecz zepsutego wychowaniem (jak mniemał) chłopca. My prości ludzie mamy przeczucia. Stłumiłem w sobie ten instynkt, owszem zachęcałem zacnego chłopaka, mile patrzałem jak gwałtem ciągnął na dobrą drogę niedołężnego panicza, toć to zasługa przed sumieniem i ludzki pożytek. Potrzebaż było tę gadzinę aż tu przynosić żeby ukąsiła w samo serce!

— Któż winien temu? Toć to sierota. Któż mógł co złego upatrywać w tem, że się przez chwilę ogrzeje przy naszem ognisku. Ja sama polubiłam go nawet, mówiła Zawadzina, ocierając oczy. Taka szczerość, taka serdeczność była w jego twarzy...

— Taka podła, taka piekielna hipokryzya powiedz — krzyknął Zawada. Nikczemnik układny, potrafił wykraść najświętsze uczucia tej dziewczyniny i bezczelnie kłamiąc przy-

jacielowi, podrzucać świstki tajemne z myślą jakiejś brudnej miłostki!

Helenka wybiegła ze swego pokoju, z twarzą zmienioną, z oczami zaczerwienemi od łez. Schwyciła ojca za ręce, jakby chciała zasłonić kogo przed jego uderzeniem.

— Ojczulku najdroższy! on tylko nieszczęśliwy, on nieszczęśliwy, to nie on źle czyni, on pragnął najlepiej... on słaby tylko, on nieszczęśliwy!

I płakała, cicho łkając, tuląc główkę do piersi ojca.

— Halko! przestań-że już! mówił ojciec wspomagając się na surowość w głosie. Gdzież rozsądek dziewczyno! Halko słuchaj, czyś zapomniała tych słów któremi wywdzięcza się bratu i nam potwarz rzuca w oczy? To nieszczęśliwy mówi: „Mścisz się teraz na mnie, gdy się wam nie udało ściągnąć mię na męża dla Helenki."

— Nieszczęśliwy! on by tego nie powiedział gdyby wiedział prawdę, szeptała dziewczyna przerywanym głosem.

— Więc po tem co odkrywa Jan dla wyleczenia cię z nierozsądnego uczucia, jeszcze chcesz pamięć tego nędznika ochraniać w sercu? Powiedz Halko, byłażbyś zdolna kochać go jeszcze?

— Nigdy! zawołała Helenka patrząc pełnemi jeszcze łez oczami z godnością nie rozżalonego już dziewczęcia, lecz człowieka podniesionego uczuciem szlachetnej wyższości. Lituję się nad nim, nad siły boli mię poniżenie tego, w którym chciałam widzieć najlepszego z ludzi, cierpię krzywdę za siebie, i za niego, ale czuję aż nadto, że między nami wszystko skończone, że muszę nim pogardzić...

— Czemuż te łzy jeszcze, ten żal?

— Bo już nic dla niego zrobić nie można, bo zginął już, bo go pochłonęło coś straszne, ohydne... On był godzien lepszego losu! A może on jeszcze zmartwychwstanie... I wtedy obcym mi musi zostać! Kochać go już nikt nie może... To okropne!

Łzy znów przerwały jej mowę. Usiadła i zakrywając twarzyczkę powtarzała:—To tak smutne, tak okropne.—Matka usiadła przy niej stroskana. Ojciec stojąc na środku zżymał się, niecierpliwił i walczył z tkliwością na widok stanu ukochanego dziecka.

— Jan wszystkiemu winien, zawołał wreszcie. Najgorsza to rzecz zwalać winę jedni na drugich, ale on winien swemu zaślepieniu dla tego gagatka. Gdy dziewczyna wyznała swe nierozsądne marzenia, które nigdy urzeczywistnić się nie mogły, nie powinny; gdy tę głupią kartkę pokazała, trzeba było paniczowi odesłać ją z ostrą reprymandą! Zraziłby się do Jana, zwichnął odrazu drogę; mniejsza o to, licha to cnota co potrzebuje podpórek. I tak na djabła się wszystko zdało. Nie, on chciał zatrzeć wszystko półśrodkami, ją leczyć z marzeń powolnie, swą miłość dla siostry stawiać już nawet na niepewną kartę dla wybawienia swego kochanego Karolka ze szponów zalotnicy... Wierzyliśmy, że czas i praca najlepsi lekarze na niewczesne marzenia, tymczasem rozmarzyła się główa dziewczyny, puszczone w niepamięć przelotne uczucie, ugruntowało się jak rzecz poważna, i dziś, aż takim głosem, aż taką obelgą zakołatał do naszych drzwi ten nikczemnik, aby jej oczy otworzyć, nam zatruć spokój a może i dobre imię nasze szarpać! Jakaż pomsta na niego!

— Przebacz mu ojcze i mnie przebacz, ja ci całem życiem nagrodzę tę boleść! Ja tu winna jestem tylko; przebaczcie dziecku, świadoma siebie dziewica wam to wynagrodzi.

Trzy lata minęło. Fale czasu przepłynęły nad mnóstwem wypadków i zagładziły ich pamięć. Pan Skarzycki wyrzekłszy po ucieczce Karola: „straciłem syna," zabronił o nim wspominać. Ludzie o potępionych jednogłośnie zapominają wkrótce, zapomnieli też o dobrowolnym wygnańcu, tem łatwiej, że w rok po gorszącej jego ucieczce, rozeszła się wieść głucha, jakoby zginął w pojedynku z dawnym adoratorem pani von Taunitz. Zaburzenia przeszumiały nad krajem, zaszło wiele zmian w rodzinach należących do naszej powieści. Lecz wpierw niż do nich się zwrócimy, potrzeba nam odszukać bohatera naszego.

We Lwowie przy jednej z bocznych uliczek, mimo późnej godziny nocnej, żywe światło bije z okna w poddasza starego dworku. Praca czy rozpusta świeci tu? Wszystko śpi dokoła a tylko ledwie gdzie niegdzie widać blask słaby lampki, świecącej przed świętym obrazem, lub czuwającej nad chorym.

We wnętrzu mieszkania ciasnota i nieład. Obok prostego stołu z powygryzanych zębami czasu desek, przyrzuconego zbiorem drobiazgów najróżnorodniejszego domowego użytku, fotel safianowy przebity i kulawy, łóżko sosnowe przyrzucone rupieciami, naprzeciw machoniowego; na stoliku przy tym ostatnim wykwintna lampka pali się obok nędznego samowarka i resztek spożywanej wieczerzy. Nad łóżkiem oderwany w jednym rogu dywanik; na krzesełku, na ziemi różne części ubrania, śmiecie w koło, szafka otwarta w niej części stroju obok zniszczonej odzieży... Trudnoby opisać podobne akcesorya ugrupowane około kobiety zajmującej główny plan tego obrazka, leżącej na łóżku. Była w wieku który najdłużej trwa u kobiet nerwowych, w wieku zaczynającym się około 30-tu lat a trwającym prawie do starości. Twarz jej chuda, zawiędła, włosy ciemne w nieładzie spadają na czoło, duże oczy osadzone w pomarszczonej powiece przesuwały się po kartkach zatłuszczonej książki. W jednem ręku czytającej kobiety tlił się papieros, drugą podpierała głowę. Trudno nam poznać w zmienionej opuszczonej kobiecie, dawną piękną panią von Taunitz. Ona to była jednak. Zmęczona jednostajnem położeniem ciała, poprawiła się na poduszkach, odłożyła książkę i podłożywszy ręce pod głowę ze zwróconą do sufitu twarzą, przedstawiała widok znurzenia i przeżycia. Twarz jej pocieniowana ostro światłem lampy, oczy w pół przymknięte, usta blade, ku dołowi zgięte, cała jej postać była wyrazem jakiejś zbolałej a chłodnej apatyi. Kroki dały się słyszeć na schodach. Kobieta przyćmiła lampę i zamknęła oczy.

Wszedł Karol. Nie był to już ów gorączkowo żywy chłopiec, był to mężczyzna blady, przygnieciony troską. Spojrzał posępnie na leżącą kobietę, zrzucił z siebie zwierzchnią odzież i obojętnie zbliżył się do lampy, postawił ją na stole przed fotelem na którym siadł, dotknąwszy wprzód zimny samowarek z niechęcią.

— Zabierasz mi światło nie powiedziawszy nawet „przepraszam—" odezwała się kobieta.

— A! myślałem że śpisz....

— Czytam. Dzień dobry panu mojemu; dzień dobry, bo zdaję mi się nie miałam sposobności powiedzieć tego zrana.....

— Nie moja wina że śpisz do dziesiątej.

— Przyszedłeś zapewne zbudzić mię o świcie pracowity mężu? Ciebie naturalnie nie praca zatrzymała do tej pory zdala od najukochańszej małżonki?

— A tak, praca, odparł sucho mąż. Nie mam ochoty do sprzeczki.

Wzrok jego padł na kawałek chleba, odkrajał część jego i zabierał się do spożycia.

— Tu jest coś więcej, wyrzekła Leokadya ukazując na stolik obok łóżka. Dary miłosiernej nieznanej ręki... A może to owoce twej pracy! Zaśmiała się siląc się na uśmiech, aż gwałtowny kaszel przerwał ten wybuch wesołości.

Karol szarpnął się cały, a przeczekawszy z brwią zaciśniętą całą gamę kaszlu, zawołał:

— Leo! to już coś czwarty raz się powtarza!

— Kaszel? zapytała kobieta.

— Wymówki bezecne! Przestań, powiadam ci! Przestań bo!.....

— Bo co?

— Bo pójdę choćby na dno piekła, byleby cię już więcej nie widzieć, nie czuć tej kuli uwieszonej mi u nogi, zmory duszącej mię bez litości! Słuchaj Leo! Jakieś mściwe fatum złączyło nas na męki... Ty Leo idź do tych dobroczyńców, niech ucieknę od ciebie, niech sprobuję zapomnieć o tobie. Nie odnajdę nigdzie spokoju, ani świeżej myśli. Zgryzota na wieki zostanie mi, dusza zdławiona, zgorzkła, zostanie jak te zmarszczki przedwczesne na twarzy. Ale ty nie bądź mi kratą więzienną...

— Tak, tak. Powtarzała kobieta siląc się jeszcze na śmiech szyderski, lecz wkrótce zerwała się w półubrana z pościeli....

— Komedyancie! zawołała w uniesieniu. Już tak przemawiasz, Karolu szlachetny; tak przemawiasz doprowadziwszy mię do nędzy, do ostatniego upadku, stargawszy mię, wyzuwszy mię ze wszystkiego com się mogła spodziewać na świecie, teraz chcesz mię rzucić?! O dobrze! rzuć, może ci lżej będzie z mojem jeszcze przekleństwem! Gustaw nie da mi zginąć...

— Znów Gustaw! Kobieto nie doprowadzaj mię do szaleństwa!

— Do szaleństwa? proszę! Ciekawam czybym nie umarła z głodu, chociażem dziedziczka Sękowic *in partibus*, jak to on powiedział, gdyby nie jego pomoc, gdybyś ty „szukał śmierci w boju."

Skarzycki z głuchym jękiem rzucił się ku drzwiom. Leokadya schwyciła go w progu.

— Puszczaj bo cię odepchnę, puszczaj obrzydła.....

— Nie puszczę, nie puszczę cię mój drogi, wołała gwałtownie, całując na przemian twarz jego, to ręce odpychające ją z rozpaczą. Przebacz, wybij jeżeli chcesz, a przebacz Karolku, ja nieszczęśliwa...

— A ja szczęśliwy?—Puść, będzie nam lepiej.

— Nie mój najdroższy, ty mię nie porzucisz! wołała kobieta mięszając świeże łzy złości z namiętnemi łzami. O przebacz, ja wiem żem ci świat zawiązała, żem przyczyną wszystkich twych cierpień. Stara, biedna suchotnica, zgryźliwa, dręczę cię jeszcze za twe poświęcenia. Zabij mię lepiej, a nie porzucaj. Ja kocham cię zawsze! Nie długo pożyję, Bóg skarał mię za ciebie! Karolu zostań!

I został. Nędze życia są jak ów polip wieloramienny; krępują i duszę człowieka, który szamocząc się, zaciska tylko bardziej więzy i boleśniejszemi je czyni. Sceny podobne powtarzały się już nieraz. Z tą kobietą łączyły Karola wężowe sploty Laokona, ona kochała go. Nie znajdując w niej dla siebie nic prócz zgryzoty, przecież... nie wiem jak nazwać to uczucie... On czuł dla niej to, co czuje ranny dla swego strzaskanego ramienia grożącego gangreną, gdy odciąć go nie ma odwagi. (d. c. n.)

JÓZEF HAYDN.

ŻYCIORYS I CHARAKTERYSTYKA.

napisał

Dr. HENRYK DÖRING.

przełożył z niemieckiego

H. B.

(Dalszy ciąg.)

XII.

W dniu 10-ym maja 1809 r., rano korpus armii francuzkiej wchodził do Wiednia. Ulica, po której wojsko ciągnęło (Mariahülfer Linie), była nie daleko od mieszkania Haydna. W chwili gdy tenże właśnie wstawał padło kilka wystrzałów armatnich, od których silnie zadrżały szyby okien jego domu. Haydn mocnym głosem pocieszał przerażoną służbę, i zawołał: „dzieci nie lękajcie się! gdzie Haydn jest, tam nie może was spotkać żadne nieszczęście!“ Duch jego jednak był silniejszym od ciała, zaledwie bowiem wypowiedział te słowo, gdy sam zaczął drżeć na całem ciele.

Od tej chwili, siły jego fizyczne zaczęły znacznie słabnąć; duch jednak pozostał mocnym i świeżym.

Jeszcze w dniu 26-ym maja 1809, przegrał on trzy razy z rzędu swoją ulubioną pieśń, ale wieczorem zaczął uskarżać się na zimno i na ból głowy. Pomoc lekarzy okazała się bezskuteczną. Nastąpiło zupełne osłabienie i odurzenie...

Haydn skonał dnia 31-go maja 1809 roku, o pierwszej po północy. Żył lat siedmdziesiąt siedm i miesięcy dwa.

Gdyby śmierć Haydna była nastąpiła w innym czasie, a nie w chwili, gdy stolica Austryi właśnie była zajętą przez Francuzów i gdy wszystkie umysły znajdowały się pod wrażeniem wypadków wojennych, liczni wielbiciele jego, niezawodnie byliby mu wyprawili świetny pogrzeb.

Władze francuzkie ogłosiły w urzędowym dzienniku wiadomość o nieodżałowanej stracie mistrza i wyraziły z tego powodu swe najwyższe współczucie. W dwa tygodnie potem, d. 13 czerwca 1809 r., odbyło się uroczyste żałobne nabożeństwo w Wiedniu w „Schottenkirch,“ przy czem wykonane zostało „Requiem Mozarta.“ Na około sarkofagu ustawioną była straż honorowa. Medale Haydna wystawione były na aksamitnej poduszce. Wszyscy generałowie francuzcy jacy znajdowali się w mieście, oraz znaczniejsi obywatele i artyści Wiednia asystowali przy tej uroczystości.

Opowiadają, że książę Esterhazy kazał później przewieźć zwłoki Haydna do Eisenstadtu i złożyć takowe w tamecznym grobie franciszkańskim (Franziskanergruft), gdzie już spoczywają: Luigi, Tomasini i inni muzycy, którzy się byli zasłużyli dla kapeli Esterhazych.

Wiedeńczycy okazali jak bardzo umieją cenić wszystko to, cokolwiek im przypominać mogło wielkiego mistrza, przy licytacyi bowiem rzeczy pozostałych po Haydnie płacono nawet za drobnostki ceny nader wygórowane. Za papugę np., którą Haydn przywiózł był z sobą z Anglii i którą sam nauczył wymawiać wyrazy, zapłacił książę Jan Lichtenstein złotych reń. 1,400. Medale, książki i rękopismy, nabył książę Esterhazy. Najciekawszemi pomiędzy temi ostatniemi były *kanony* (w liczbie czterdziestu sześciu), napisane po większej części na pieśni niemieckie. Haydn kazał był je pod szkło w ramki oprawić, i rozwiesił je na ścianach swojego pokoju. Gdy mu raz jego gospodyni robiła wyrzuty, że w domu nie ma nawet tyle pieniędzy aby na wypadek jego śmierci można go uczciwie pochować, Haydn wskazał jej owe *kanony* i rzekł z uśmiechem: „Nie taka bieda jak się acani zdaje; weźmiesz wtenczas te *kanony* i zaniesiesz je do mego nakładcy, a zaręczam, że koszta pogrzebu będą pokryte!“

Powierzchowność Haydna nie zdradzała wcale jego potężnego ducha. Był on wzrostu średniego; dolna część ciała w stosunku do wierzchniej była trochę za krótką. Rysy jego twarzy były regularne (z wyjątkiem chyba nosa, który dość silnie był zakrzywionym); całe zresztą oblicze było ospowate. Spojrzenie było poważnem, ale zarazem w niem przebijała się ujmująca dobroduszność. Był silnej budowy ciała i bardzo chudy.

Haydn dobrze wiedział o tem, że nie jest pięknym, i sam opowiadał jak pewna książęca para znieść go nie mogła dla tego, iż „jest tak brzydkim.“

Peruka z harcapem i kilkoma bocznemi zwojami, nie mogła mu dodawać wdzięku; pomimo to jednak nosił ją ciągle, bez względu na zmianę mody, i to tak, że peruka zakrywała mu całe czoło, które widać było tylko na szerokość dwóch palcy.

Haydn przez całe swe życie niezmiernie był umiarkowanym, pod każdym względem. Odznaczał się również zamiłowaniem porządku i nadzwyczajną pracowitością.

Odwiedziny przyjmował tylko wtenczas, gdy już był zupełnie ubranym; jeżeli zaś ktoś ze znajomych wszedł znienacka, Haydn śpiesznie wkładał na głowę swoję perukę.

Wszystko szło u niego podług naprzód nakreślonego planu, od którego niechętnie odstępował. W cieplejszych porach roku wstawał o wpół do siódmej rano. Pierwszem zaraz zajęciem jego było golenie się, co własnoręcznie wykonywał aż do swego siedmdziesiątego roku życia. Jeżeli w czasie, gdy Haydn się ubierał, przyszedł jaki jego uczeń, tenże musiał zaraz siadać do fortepianu i grać zadane ćwiczenia. O ósmej, Haydn spożywał skromne śniadanie. Bezpośrednio potem sam zasiadał do fortepianu i fantazyował tak długo aż dopóki nie znalazł odpowiedniej myśli, którą też zaraz rzucał na papier. Tym sposobem powstawały pierwsze szkice jego kompozycyj. O dwunastej w południe, przyjmował wizyty albo sam wychodził na miasto. O drugiej jadł obiad. O czwartej znów był przy nutach, i rozpisywał partytury. O ósmej wieczorem wychodził zazwyczaj na spacer, który trwał nie więcej nad godzinę. Potem czytał, i po kolacyi składającej się z chleba i wina, około dwunastej, udawał się na spoczynek. W zimie wstawał o godzinę później; zresztą porządek całodziennych zajęć, żadnej nie ulegał zmianie.

Dopiero w ostatnich latach Haydn widział się przymuszonym do zupełnego zmienienia trybu życia.

Z dzieł Haydna bez zaprzeczenia najwyżej stoją: *Stworzenie* i *Pory roku*; w obec nich bledną jego opery, msze i inne wokalne kompozycye. Ale za to znów w całym blasku jaśnieją jego symfonje. Haydn, był właściwym twórcą tego rodzaju muzyki instrumentalnej, i jemu to ona zawdzięcza swą zupełnie nową formę i swe udoskonalenie. W symfonii Haydn nie chciał widzieć, jak to dotąd było zwyczajem, jedynie wstępu do opery (to jest uwerturę) albo do jakiej większej kościelnej kompozycyi, ale uczynił ją samodzielną, zamkniętą w sobie całością. Podług niego symfonja musi być większem dziełem instrumentalnem, złożonem z czterech części, mającem budzić w słuchaczach pewne określone uczucia, i rozwijać się przed nimi w obrazach, jak poemat. Haydn sam dał przykład jak trzeba pisać symfonje. Jego fantazya była tak bogatą, iż mógł nadać swej idei odpowiednią formę i tworzyć symfonje w wyższem znaczeniu tego słowa. Z zadziwiającą też łatwością obracał on się na tem nowem, przez siebie odkrytem polu muzykalnej działalności. Każda z jego symfonij była arcydziełem w swoim rodzaju; wszystkie one tryskają dowcipem i bogactwem świetnych modulacyj. W każdej symfonii Haydna dominuje jedna myśl przewodnia, którą aż do końca konsekwentnie przeprowadza. Myśl ta była zazwyczaj bar-

dzo prostą, i łatwo zrozumiałą, i rzadko nosiła na sobie piętno wyższego poetycznego nastroju. Nie leżało w charakterze Haydna uganiać się za gwałtownemi effektami; nie chciał on nigdy „śmiać się śród łez," ale zadaniem jego było: ucieszyć, rozweselić, wywołać w słuchaczach zadowolenie. O wielu symfonjach Haydna możnaby powiedzieć to, co jeden z dowcipniejszych krytyków napisał o pewnej symfonji innego, również jak Haydn znakomitego kompozytora: *Całość*, przedstawia biesiadę; w *Adagio* widzimy jak gospodarz wita swoich gości. *Allegro* jest obrazem prowadzonych przy kieliszku wina miłych gawęd, które trochę poważniej, ale nie mniej interesujące, ciągną się dalej przez *Andante*. Teraz uprzejmy gospodarz z uśmiechem rozcina druty kilku butelek szampańskiego, przez co w pierwszej części *Ronda* rozmowa znacznie się ożywia. W *drugiej części Ronda*, wszyscy obecni wyrażają niejako gospodarzowi swe podziękowanie; i rozchodzą się unosząc z sobą przekonanie, „że było przyjemnie i wesoło, a nikt jednak się nie upił!

W swoich kompozycyach, Haydn nigdy nie wykraczał z granic wdzięku i powabu, i zawsze umiał się miarkować chociaż często przebiegał całą skalę najrozmaitszych uczuć: od wybryków wesołości i lekkiego żartu aż do burzliwego uniesienia namiętnej grozy. Żaden ustęp w jego utworach nie jest ani za krótkim ani za długim; wszystko jest na swojem miejscu, czy to frazes prosty czy skomplikowany. Jego instrumentacya odznacza się czystością i jasnością; każdy instrument traktowanym jest stosownie do jego natury i charakteru.

Haydn na długo zapewne jeszcze pozostanie niedoścignionym wzorem dla wszystkich kształcących się w wyższej muzyce.

Moglibyśmy mu zazdrościć (jak wyraził się jeden z jego wielbicieli) gdyby w naszej było mocy mniej go miłować, i mniej czuć dla niego wdzięczności.

Spis kompozycyj Józefa Haydna,

sporządzony własnoręcznie przez niego samego, a obejmujący dzieła, które Haydn napisał od 18-go do 70-go roku swego życia.

---

118 Simfonie.—125 Divertimenti a tre, per il Bariton, Viola e Violoncello. — 6 Duetti. — 12 Sonate per il Bariton col Vioncello. 6 „Cassationsstuecke."—5 detto a 8 voci.— 3 detto a 5 voci. —1 detto a 3 voci.—1 detto a 4 voci.—1 detto a 6 voci.—3 Concerti con Violini e Basso.

Divertimenti per diversi stromenti.—1 a quattro voci.—5 a cinque voci.—9 a sei voci.— 1 a otto voci.—2 a nove voci.—2 in dubio.— 2 Marcie.

---

21 Trii per 3 Violini e Violoncello.—6 Sonate, a Violino solo, coll'accompagnamento d'una Viola.

Concerti.

3 per Violino.—3 per Violoncello.—1 per il ContraBasso.—1 per il Cornoin D.—2 a due Corni.—1 per il Clarino.—1 per Flauto.

Missae, Offertoria, te deum, salve regina, chori.

1 Missa Celensis.—2 Missae sunt bona mixta malis. —2 Missae brevi.—3 Missae St. Josephi.—3 Missae in tempore belli.—4 Offertoria.—1 Salve Regina a 4 voci.—1 Salve Organo solo.—1 Cantilena pro Advento.—1 Respons. de Vener. Lauda Syon Salvatorem.— 1 Te Deum.— 2 Chori.—82 Quartetti.

---

1 Concerto per l'Organo.—3 detto per Clavicembalo.—1 Divertimento per Cembalo, col Violino due Corni e Basso.—11 detto a 4 mani.—1 detto con Bariton e 2 Violini.—1 detto con 2 Violini e Basso.—1 detto 20 Variazioni.

---

15 Sonate per il Pianoforte.—1 Fantasia.— 1 Capriccio.—1 Thema con Variazioni in C.— Thema con Variazioni in Es.

---

29 Sonate per il Pianoforte con Violino e Violoncello.

---

42 niemieckie i kilka włoskich pieśni i duetów.—39 kilkogłosowych Kanonów.

Niemieckie opery.

1. „Der Krumme Teufel."—2. „Philenon und Baucis;" Marionettenoperette 1773. — 3. „Hexenschabbas;" Marionettenfest 1773.— 4. „Genovefa;" Marionettenoperette 1777. 5. „Dido" eine parodirte Marionettenoperette 1778.

Opery włoskie.

1. La Canterina. — 2. L'incontro improviso.— 3. La Speciale.—4. La Pescatrice.—5. Il mondo della Luna. — 6. L'isola disabitata. — 7. L'infidelta fidele.—8. La fedelta premiata.— 9. La vera constanza.—10. Orlando Paladino.— 11. Armida.—12. Acide e Galatea.—13. L'infidelta delusa.—14. Orfeo.

Oratorya.

1. Ritorno di Tobia.—2. Stabat Mater.— 3. Słowa Zbawiciela.—4. Stworzenie.—5. Pory roku.—6. Trzynaście 3 i 4-ro głosowych śpiewów.

Spis wszystkich przez Józefa Haydna w Londynie napisanych dzieł.

(Podług jego dziennika.)

Orfeo. Opera seria.—6 Symphonies.—Concertant Symphony.—The Storm.—3 Symphonies. Arie, for Davide.—Maccone, for Gallini.— 6 Quartettes.—3 Sonates for Broderip.—3 Sonates, for P...—3 Sonates, for Mistress Janson.—Sonate in F minore.—Sonate in G.— The Dream.—Dr. Harrington's Compliment.— 6 English Songs.—150 Scotch Songs. —2 Flute divert.—3 Sypmhonies.—4 Songs, for S...— 2 Marches.—Aria, for Mrs. P...—God save the King. — Aria con Orchestra. — Invocation of Neptune. — 10 Commandments. (Canons).— March for the Prince of Wales.—2 Divertimenti a più Voci.—24 Minuets and German dances.—12 Ballads, for Lord A...—Different Songs. —Canons.—Song with the whole Orchestre. — 4 Contrydances. — 6 Songs. — Overtura Coventgarden.—Aria per la Banti.— 4 Scotch Songs.—2 Songs. — 2 Countrydances.—3 Sonates, for Broderip.

Drzwi muszą być otwarte albo zamknięte.

PRZYSŁOWIE w I-ym AKCIE

Alfreda de Musset.

Tłomaczył *W. Jaczewski.*

(Dokończenie)

Hrabia. Ja się wcale nie śmieję.

Margrabina. Jesteś bardzo niegrzeczny. Chowałam tu włosy mego męża jako drogą pamiątkę. Ale cóż to jest? nikt nie wchodzi. Któż to znowu dzwonił?

Hrabia *(zbliża się do okna)*. Druga dziewczynka z drugiem pudełkiem. Zapewne drugi czepeczek. A propos — pomimo to miałaś mi zrobić pewne zwierzenie.

Margrabina. Zamknij-że drzwi mój hrabio czy chcesz mnie zamrozić?!

Hrabia. Odchodzę. Ale przyrzekasz, że mi powtórzysz to co o mnie słyszałaś, nieprawdaż?

Margrabina. Bądź dziś na balu, pogadamy.

Hrabia. A to przedziwnie! gawędzić na balu. Przyjemne miejsce do rozmowy, przy akkompaniamencie puzonów i brzęku szklanek limoniady. Tu ktoś nadeptuje na nogę, inny znów potrąca łokciem, a lokajus tymczasem pakuje lody do kieszeni... Czyż podobna w takim...

Margrabina. Więc zostajesz, czy odchodzisz? Powtarzam, że nabawisz mnie kataru. Ponieważ nikt się nie zjawia, cóż cie stąd wypędza?

Hrabia *(zamyka drzwi, wraca i siada)*. Ale bo czuję, że mimo mej woli jestem w tak złym humorze, iż doprawdy obawiam się margrabino — żebyś mnie za uprzykrzonego nie miała.

Margrabina. A to grzecznie, skądże to mniemanie?

Hrabia. Nie wiem, ale że ciebie nudzę, sama mi to przed chwilą powiedziałaś — ja to sam czuję, wreszcie to bardzo naturalne. A to istne nieszczęście że to moje mieszkanie, jest naprzeciwko twego. Nie mogę wyjść z domu żeby nie spojrzeć w twoje okna i wchodzę tu machinalnie, nie zastanawiając się zgoła nad tem po co tu idę.

Margrabina. Jeżeli powiedziałam, że mnie dziś nudzisz; to nie znaczy żeby tak było zawsze. Doprawdy, wyrządziłbyś mi wielką przykrość gdybyś.... bardzo jestem rada widzieć, ciebie, hrabio!

Hrabia. O nie! Czy wiesz pani co postanowiłem? Wracam do Włoch.

Margrabina. A cóż powie na to panna...

Hrabia. Jaka panna, pozwól zapytać?

Margrabina. Panna... nie wiem kto... twoja protegowana, nie znam nazwiska waszych tancerek!

Hrabia. A więc to jest owa historya, którą ci o mnie opowiadano?

Margrabino. Tak jest. Czy zaprzeczasz?

Hrabia. Ależ pani, to bajka.

Margrabina. Jednak to nie dobrze, że pana widziano w teatrze z kimś w różowym kapeluszu z kwiatami... jakie rosną tylko za kulisami opery. Znasz wszystkie chórzystki, to wiadome całemu światu.

Hrabia. Tak, jak twoje małżeństwo z panem Camus.

Margrabina. Wracasz do dawnego. Dobrze. A więc dla czegoż by to małżeństwo nie miało przyjść do skutku? Pan Camus jest człowiek pełen uczciwych zasad, posiada milionowy majątek, wiek jego wzbudza już pewien rodzaj poważania, to prawda; ale właśnie odpowiedni jest i stosowny na *męża*. Ja jestem wdową, on kawaler; przytem wygląda bardzo przyzwoicie, jak włoży rękawiczki...

Hrabia. I szlafmycę na głowę, musi mu być w niej do twarzy...

Margrabina. Hrabio! przestań. Czy można mówić o podobnych rzeczach...

Hrabia. I dla czegoż-by nie? Komuś, który go może w takim stroju wkrótce obaczy...

Margrabina. Zapewne w towarzystwie „tych pań" nauczyłeś się prowadzić rozmowę w taki sposób?

Hrabia (*wstaje, bierze za kapelusz*). Żegnam cię margrabino, odchodzę, gdyż boję się abym nie był jeszcze raz narażony na powiedzenie czegoś niestosownego.

Margrabina. Co za zbytek delikatności!

Hrabia. Nie, ale naprawdę, pani jesteś okrótną. Nie dość, że zabraniasz mi kochać się w tobie, lecz oskarżasz mnie o miłość dla innych.

Margrabina. Znowu coś nowego. Jaki ton tragiczny! Ja zabroniłam panu kochać się we mnie?

Hrabia. Rozumie się. A przynajmniej mówić o tem.

Margrabina. A więc, pozwalam panu, ciekawa jestem twoich krasomówczych zdolności.

Hrabia. Gdybyś to powiedziała seryo...

Margrabina. Co ciebie to hrabio obchodzić może; dość, że powiedziałam.

Hrabia. Ale bo stać się łatwo może; że tu ktoś niby żartem narażony będzie...

Margrabina. Na wielkie niebezpieczeństwo? Powiedz!

Hrabia. Być może... nieszczęście grozić będzie tylko mnie jednemu.

Margrabina. Kto tchórz, niech zucha nie udaje. I cóż, milczysz; wyzwałeś mnie, stanęłam do walki a ty się ani ruszysz? Spodziewałam się, że przynajmniej upadniesz mi do nóg jak Rodryk albo pan Camus... Gdyby on tu był w tej chwili, jużby klęczał z pewnością.

Hrabia. Czy panią bawi szydzić sobie i żartować ze świata i ludzi?

Margrabina. Czy to pana mocno dziwi, że ktoś może panu stawić mu czoło odważnie?

Hrabia. Strzeż się pani, jeżeli jesteś odważną, ja nie mniej; wiedz, że służyłem w huzarach i to nie tak dawno.

Margrabina. Doprawdy, a to wybornie; oświadczyny huzara to musi być rzecz ciekawa, nigdym jeszcze tego nie widziała. Chcesz? przywołam moję pokojową sądzę, że ona potrafi prowadzić z tobą rozmowę i zaimprowizujecie dla mnie widowisko. (*Słychać dzwonek*).

Hrabia. Jeszcze dzwonek. Więc żegnam cię margrabino! Ale za wygraną nie daję. (*Otwiera drzwi*).

Margrabina. Zobaczymy się wieczorem, nieprawdaż? Ale co słyszę, jakiś hałas, szum.

Hrabia (*patrzy w okno*). Zmiana powietrza. Deszcz i grad aż miło. A tu widzę przynoszą ci trzecie pudło, bodaj czy nie zakatarzone.

Margrabina. A ten turkot? czy to grzmoty? W połowie stycznia? Cóż na to kalendarze powiedzą?

Hrabia. Nie, to tylko wicher, rodzaj uraganu.

Margrabina. To okropne. Zamknij że pan drzwi, nie możesz przecie odejść w czas tak szkaradny. Co też jednak mogło spowodować tę nagłą zmianę!

Hrabia (*zamyka drzwi*). To rozgniewany Jechowa karci szyby w oknach, parosole i kominy na dachach.

Margrabina. A moje biedne konie na mieście! Kazałem je zaprządz i pojechać, żeby się trochę przespacerowały.

Hrabia. Nie ulegną żadnemu niebezpieczeństwu jeżeli im co na głowy nie spadnie.

Margrabina. Teraz ty z kolei żartujesz sobie mój hrabio. Ale trzeba ci wiedzieć, że ja ogromnie czystość lubię, nie chciałabym żeby się moje konie zabłociły. To jednak dziwne. Pojąć tego nie mogę. Przed chwilą niebo było tak jasne, tak pogodne.

Hrabia. Możesz pani liczyć na pewno, że po tym deszczu nikt a nikt nie zawita. Otóż i jedną *recepcyą* mniej.

Margrabina. Wcale nie, ponieważ ciebie tu widzę. Połóż że już raz ten kapelusz, bo mnie niecierpliwisz.

Hrabia. Komplement margrabino. Strzeż się. Powiadasz, że komplementów z zasady nie nawidzisz; więc twoje mógłby kto wziąść za prawdę...

Margrabina. Ależ mój hrabio, mówię ci najszczerzej, twoja obecność sprawia mi przyjemność.

Hrabia (*siada przy Margrabinie*). A! to pozwólżesz kochać się w tobie.

Margrabina. I owszem, mówiłam ci już raz i powtarzam jeszcze, kochaj się, ja bynajmniej gniewać się o to nie myślę.

Hrabia. To pozwól, że ci o tem mówić będę.

Margrabina. Po huzarsku? Czy tak?

Hrabia. Mylisz się pani; bądź przekonaną, że u mnie brak serca, zastąpiłby zdrowy rozsądek, który-by mi kazał oczywiście okazać pani ten wysoki szacunek, jaki się jej należy, jednak zdaje mi się, że można mieć prawo, nie obrażając osoby którą się szanuje...

Margrabina. Zaczekać, póki deszcz padać nie przestanie. Prawda? Wszedłeś tu przed kwandransem nie wiedząc po co. takeś się sam wyraził, czułeś się znudzonym; nie wiedziałeś co począć, mogłeś nawet ujść za starego zrzędę... A gdybyś był zastał choć trzy osoby jakiekolwiek, rozmawiałbyś teraz z niemi tam przy kominku o literaturze, kolejach żelaznych i t. d., po czem najspokojniej poszedłbyś sobie na obiad. Lecz że mnie samą zastałeś, czujesz się niby w obowiązku, w sprawie własnego honoru, składać mi te hołdy, mówić te odwieczne, nieznośne komplementa, śmieszne, bez celu i tak już dziś spowszedniałe. W czem-że ci zawiniłam? Niech no się kto zjawi z wizytą, może odzyskasz swój dawny dowcip, ale jestem teraz samą, a ty hrabio stajesz się nudniejszym od starej wodwilowej śpiewki, natychmiast przystępujesz do swego tematu i gdybym tylko ciebie słuchać chciała, byłyby tu już i oświadczyny i cała powieść o twojej miłości... Wiesz do kogo podobni mężczyzni?... Do tych biednych, wysykanych autorów, którzy mają zawsze rękopism w kieszeni jakiej niewydanej i niemożebnej do przedstawienia tragedyi, i którzy byle na kwadrans zostali z kim sam na sam, natychmiast zaczynają go męczyć czytaniem swego arcydzieła.

Hrabia. A więc tak: ty margrabino utrzymujesz, że ja ci się podobam; ja odpowiadam że ciebie kocham, i to już ma być po wszystkiem?

Margrabina. Kochasz mnie o tyle o ile kocha się np: wielkiego Mogoła!

Hrabia. Wybacz pani, lecz tego już za wiele. Posłuchaj mnie chwilkę jeszcze a jeżeli, nie uwierzysz mojej szczerości...

Margrabina. Nie, nie i nie! A mój Boże! Czy myślisz hrabio że ja nie wiem cobyś powiedział? Zbyt dobre mam wyobrażenie o twojem wychowaniu, ale czyliż dla tego że jesteś niezaprzeczenie ukształconym i światłym, ja nie miałabym być także oczytaną Otóż powiem ci że znałam pewnego bardzo uczonego człowieka, który kupił był, nie wiem gdzie, całą kollekcyą listów, było ich pięćdziesiąt; wszystkie dość zręcznie i bez błędów napisane, były to rozumie się liściki miłosne. Rozklasyfikował je w ten sposób, że stanowiły rodzaj maleńkiego romansiku, w którym przewidziane były wszystkie sytuacye. Były tam listy służące za model do oświadczyn, do objawiania nadziei albo gniewu, inne znów do używania w chwilach hypokryzyi, mianowicie kiedy to się amorka usuwa zręcznie pod zasłoną przyjaźni, dla zerwania stosunków na zawsze, dla okazania zazdrości albo rozpaczy, na chwile złego humoru, a nawet na dnie niepogody, słoty takiej jak dziś... Czytałam te listy. Autor utrzymuje w swej przedmowie, że się nimi sam posługiwał i nie zna kobiety któraby po przeczytaniu 33-ch, jeszcze opór stawiła! Otóż ja przemogłam, oparłam się całej kollekcyi. Pytam więc ciebie czy nie dość oczytaną jestem i czy możesz pochlebiać sobie że mi powiesz coś nowego?

Hrabia. Margrabino! zawieleś używała i smak masz przytępiony [1]).

Margrabina. Obelgi? Już wolę to niż owe słodycze, owe ckliwe frazesy...

Hrabia. Naprawdę, struny uczucia już się znużyły. Otrętwiałaś, zobojętniałaś na wszystko.

Margrabina. Tak pan sądzisz, to się mylisz!

Hrabia. Jak stara Angielka, matka 14 dzieci...

[1]) blasé.

Margrabina. Jak pióro na moim kapeluszu. Więc wystawiasz sobie że to nauka arcytrudna, poznać was wszystkich dokładnie. Ale tego się uczyć wcale nie trzeba; pozwolić wam tylko działać swobodnie. Rozważ sam: to wyrachowanie nader proste... Mężczyzn którzyby nie obrażali naszych uszu albo znów niewpadali w ckliwość, jest bardzo mało. Przytém, niezaprzeczonem jest i to że w owych smutnych chwilach kiedy usiłując podobać się, używacie kłamstwa, podobni jesteście wszyscy do siebie jak domki z kart. Na szczęście, sprawiedliwe nieba obdarzyły was słownikiem niezbyt urozmaiconym. Nucicie jedną piosnkę wszyscy. Dość, że słuchanie jednych i tych samych frazesów, powtarzanie tych samych słów, z góry już wyuczonych gestów, tych-że samych czułych spojrzeń, nareszcie widok tych rozmaitych, które mniej więcej bywają same przez się przystojne, ale które w tych nieszczęsnych chwilach przybierają ten sam wyraz twarzy pokornie zwycięzki, wzbudza w nas tylko śmiech pusty albo nudy. Gdybym miała córkę i chciała ją uchronić od tych zabiegów, które nazywają niebezpiecznemi, nie wzbraniałabym jej wcale sielanek opowiadanych jej przez tancerzy na balu. Powiedziałabym tylko: Posłuchaj nie jednego, owszem wysłuchaj wszystkich, nie zamykaj księgi; zostaw ją otwartą, niech ci panowie opowiadają tobie swoje historyjki. Jeżeli niestety! który z nich zdoła ci się podobać; nie broń się, lecz poczekaj tylko czas jakiś: wnet zjawi się drugi taki sam, a niewątpliwie zniechęcisz się do obu. Masz teraz, przypuszczam rok szesnasty, otóż moje dziecię wiedz, że tak będzie ciągle do lat trzydziestu, wciąż jedno i toż samo. To jest hrabio moja historya i moja nauka Czy pan to nazywasz...

Hrabia. Okropnie, jeżeli to co pani mówisz jest prawdą, ale wydaje się tak nie naturalnem, że niech wolno mi będzie wątpić o tem.

Margrabina. Jak ci się hrabio podoba. Mało dbam o to, czy mi wierzysz lub nie.

Hrabia. Coraz lepiej. Czy podobna? Jakto? W twoim wieku miałażbyś pogardzać miłością? Słowa mężczyzny który cię kocha sprawiają na tobie wrażenie nędznego romansu? Jego spojrzenia, gesta, uczucia same, wydają ci się komedyą, fałszem?... Prawdę przyznajesz jedynie sobie, w innych widzisz tylko obłudę i kłamstwo. Ależ margrabino! Gdzieżeś takie zdanie słyszała? Z jakiegoż do nas zawitałaś kraju?

Margrabina. Z daleka mój sąsiedzie.

Hrabia. Tak jest z krainy powijaków i kołysek. Kobietom się zdaje, że dla nich nie ma nic obcego na świecie, a właśnie przeciwnie się dzieje; one nic a nic nie widzą i nie widzą i nie znają. Jakie naprzykład doświadczenie możesz mieć ty margrabino? Chyba takie jak ów podróżny, który wszedł do jakiejś oberży i widząc tam służącę ryżą, zanotował sobie natychmiast w dzienniku: w tym a tym kraju, kobiety są ryże.

Margrabina. Prosiłam żebyś dołożył to drewienko do ognia.

Hrabia *(kładzie drewko w ogień)* Można być przezorną i nawet zbyt skromną, to się da rozumieć—nie słuchać o miłości, nienawidzieć jej—to możebne, ale zaprzeczać jej istnienia, to żarty! Przerażasz tego biedaka, któremu powiadasz: „Ja wiem co mi pan powiesz.“ Ale czyliż on nie ma prawa dać ci taką odpowiedź: „Być może, że pani to wiesz, ja również znam język miłości, ale go zapominam gdy rozmawiam z tobą?” Nie ma dziś nic nowego pod słońcem. A teraz ja z kolei zapytuję, cóż to dowodzi?

Maagrabina. A przynajmniej teraz to co innego, mówisz bardzo dobrze prawie jak z katedry.

Hrabia. Tak jest mówię i zaręczam ci margrabino, że jeżeli jesteś rzeczywiście taką, jaką usiłujesz się wydawać, to wzbudzasz we mnie szczere politowanie.

Margrabina. Dobrze... mów... niech cię nic nie krępuje.

Hrabia. Przecie w tem co powiedziałem nie ma nic obrażającego. Jeżeli wam kobietom wolno jest nas atakować, udzielcież nam prawa obrony! Porównywacie nas do owych niefortunnych autorów wysykanych i wyszydzonych, ale to porównanie nie da się usprawiedliwić, bo przypuśćmy nawet, że miłość...

Margrabina. Ogień gaśnie, drewka pospadały.

Hrabia *(poprawia drewka na kominku)*, bo przypuśćmy nawet, że miłość jest komedyą, tą komedyą starą przez świat wysykaną lub nie wysykaną, jest nareszcie jednym z najmniej szkodliwych wynalazków. Role są w nich ograniczone, to prawda; ale gdyby sama sztuka nie była wiele warta, nie znaliby jej wszyscy na pamięć. A przytém mylę się mówiąc, że jest starą, bo czyż nieśmiertelność starzeje?

Margrabina. A, wkraczasz hrabio w dziedzinę poezyi.

Hrabia. Nie, pani, ale bo te niedorzeczności, które cię nudzą, te komplimenta, oświadczyny, całe to paplanie: to wszystko rzeczy bardzo dawne, z góry ułożone, nawet jeżeli chcesz nurzące, czasem śmieszne, one są towarzyszami innej, a ta jest wiecznie młodą.

Margrabina. Hrabio, twoje zdania się plączą; cóż to jest, wiecznie stare, a co wiecznie młode?

Hrabia. Miłość...

Margrabina. Nie wątpię teraz hrabio o twoich krasomówczych zdolnościach.

Hrabia. Pani, to niekrasomówstwo wcale. Chciałem powiedzieć, że miłość jest nieśmiertelna, zatem zawsze młoda—a sposoby wyrażania jej są stare i zostaną takimi na wieki. Te zużyte formy, te powtarzania się, te urywki romansów które wypływają z serca nie wiem dla czego, całe to otoczenie, ta procesya, to orszak starych dyplomatów, szambelanów, ministrów, to szepty na królewskim przedpokoju. Wszystko to z czasem ginie. Król tylko jeden nie umiera, miłość niech żyje, wiwat miłość!

Margrabina. Miłość?

Hrabia. Tak jest, miłość, bo chociażby tylko sobie wyobrazić, wyimaginować...

Margrabina. Podaj mi hrabio ekran, który tam leży.

Hrabia. Czy ten?

Margrabina. Nie, tamten kitajkowy, twój ogień mnie oślepia.

Hrabia *(podaje Margrabinie ekran)*... bo chociażby sobie tylko wyimaginować że się kocha, czyliż tego nie dość, czyliż to nie czarujące, czyliż ten urok sam zadowolnić nie jest wstanie.

Margrabina. Ale powtarzam ci hrabio że to jest zawsze jednostajne, że to zawsze jedno i toż samo.

Hrabia. A jednak zawsze nowe, jak mówi piosenka. Jakiej-że innej żądasz miłości? Chcesz może, by cię kochano miłością biblijną? Ta twoja Wenus na kominku, zawsze ta sama, ale czy dla tego przestaje być piękną, powiedz margrabino. Czy że podobną jesteś do swej prababki, jesteś przeto mniej zachwycają?

Margrabina. Dobrze. Znowu ta zwrotka zachwycająca. Podaj no mi hrabio poduszkę która leży tam koło ciebie.

Hrabia *(bierze poduszkę i trzyma ją w ręku)*. Ta Wenus wyrzeźbiona na to, żeby się jej pięknością lubowano, żebyśmy ją podziwiali, to ją nie nudzi. Jeżeli arcydzieło znalezione w Milos, wymodelowane było z natury, ta wesoła córa Grecyi, miała z pewnością większy zastęp kochanków niżeliby tego żądać mogła. Pozwalała się kochać jak każda inna, jak jej krewna Astarté, jak Aspazya i Manon Lessaut.

Margrabina. Hrabio... co znowu mitologia?

Hrabia *(ciągle z poduszką w ręku)*. Nie pani, ale nie umiem dość wypowiedzieć jak wielce mnie zasmuca w młodej kobiecie ta niby modna obojętność ta lodowatość, która ze wszystkiego się naigrawa i wszystkiem pogardza, to niby doświadczenie co wszystko w nicość obraca. Pani nie stanowisz w tym względzie wyjątku. Ta choroba obiega wszystkie stany. Kobiety się odwracają, ziewają, tak jak pani w tej chwili, wołają, że nie chcą słyszeć o miłości. A po cóż te koronki na sukni, ten stroik nagłowie?

Margrabina. A po cóż ta poduszka w twoim ręku hrabio. Prosiłam żebyś mi ją położył pod nogi.

Hrabia. Oto ją masz, a ponieważ ogromnie mnie rozdrażniłaś, musisz koniecznie wysłuchać mego oświadczenia, starego jak świat. *(Kładzie poduszkę na podłogę i klęka).*

Margrabina. Bądź łaskaw hrabio, usuń się z poduszki.

Hrabia. Nie,—musisz mnie wpierw wysłuchać.

Margrabina. Nie wstaniesz?

Hrabia. Nie, nie i nie! Powtarzam słowa któreś przed chwilą wyrzekła, wstanę skoro mnie wysłuchasz.

Margrabina. Żegnam pana *(wstaje).*

Hrabia *(na kolanach)*. Margrabino! Na Boga! to zbyt okrutne. Ja oszaleję z rozpaczy...

Margrabina. Pójdziesz pan do „Café de Paris“ to przejdzie.

Hrabia. Nie, na honor, ja mówię z głębi duszy. Przyznaję, że wszedłem tu bez żadnego zamiaru, chciałem cię widzieć tylko na chwilkę, świadkiem tego są te drzwi, które już trzy razy otwierałem żeby odejść. Ta rozmowa, którąśmy prowadzili, te twoje szyderstwa, twoja lodowatość nawet, sprawiły żem zaszedł dalej może, niżelim był powi-

nien, ale ja ciebie kocham nie od dzisiejszego dnia, tylko od pierwszego poznania się z tobą, zacząłem cię ubóstwiać. Tak jest nie przesadzam, już od roku marzę tylko...

MARGRABINA. Żegnam. (*Wychodzi i zostawia drzwi otwarte*).

HRABIA (*po chwili — wstaje*). Prawda, że z tych drzwi okrutnie wieje (*chce wyjść i spostrzega w drzwiach Margrabina*).

MARGRABINA (*oparta o na wpół otwarte drzwi*). Już wstałeś?

HRABIA. Tak jest i tym razem odchodzę, żeby tu nigdy więcej nie powrócić.

MARGRABINA. Przyjdź dziś na bal, obiecuję ci jednego walca.

HRABIA. Nie, nie zobaczę cię już nigdy, jestem w rozpaczy, zginąłem...

MARGRABINA. Co panu jest?

HRABIA. Zginąłem, kochałem cię jak dziecko. Przysięgam ci... na co jest najświętszego na świecie...

MARGRABINA. Żegnam... (*Odchodzi*).

HRABIA. Nie, to ja odchodzę, zostań, błagam Panią. Ach! jakże cierpieć będę!

MARGRABINA (*seryo*). Lecz nakoniec zechciej pan powiedzieć czego odemnie żądasz?

HRABIA. Pani, chcę, żądałbym...

MARGRABINA. Czego? mów, bo mnie nareszcie niecierpliwisz! Może wystawiasz sobie że zostanę twoją metresą, i odziedziczę owe różowe kapelusze? Uprzedzam pana że taka myśl nie tylko że mi się mocno niepodoba ale wielce mnie oburza.

HRABIA. Ty! Margrabino! Wielki Boże! gdyby to było możliwem. Przepędziłbym u stóp twoich całe moje życie. Powierzyłbym ci moje imię, majątek, honor nawet. Ja miałbym ciebie przyrównać chociaż na chwilę, nie mówię już do tych istot o których wspominasz żeby mnie smucić, ale do jakiej innej kobiety na świecie! Mogłażeś pani to przypuścić? Czyliż moja lekkomyślność doszła do takich rozmiarów, że pozwoliła ci wątpić o mojem uszanowaniu dla ciebie? Mówiłaś przecież że znajdujesz pewną przyjemność w mojej obecności, że masz trochę przyjaźni dla mnie (nie prawdaż margrabino?) jakże możesz myśleć żeby mężczyzna który został przez ciebie wyróżniony z pomiędzy innych, który stał się godnym tak drogiego, tak miłego pobłażania, mógłby cię nie ocenić należycie. Jam też nie ślepy ani szalony. Ty moją metresą? O nie, moją żoną.

MARGRABINA. A! otóż gdybyś to mi był powiedział wchodząc do mnie, uniknęlibyśmy tej sprzeczki. Więc chcesz mnie zaślubić?

HRABIA. Ale bez wątpienia, pragnę tego z całej duszy, nigdy nie śmiałem ci o tem powiedzieć, ale od roku tą jedną myślą jestem przejęty, przelałbym ostatną kroplę krwi mojej żeby mi pozwolono było mieć chociaż odrobinę nadziei...

MARGRABINA. Ale pozwólże, twój majątek o wiele większy od mego.

HRABIA. Ach! Pani! najpierw wątpię czy większy a powtóre co cię to obchodzić może? Błagam, nie mówmy o tem. Przed twem uśmiechem, który spostrzegam, w tej chwili drżę cały w oczekiwaniu i strachu. Jedno słówko przez litość! moje życie w twoich rękach [1]).

MARGRABINA. Przytoczę ci dwa przysłowia: pierwsze, że „Zbawienną jest rzeczą wzajemnie się porozumieć.“ A zatem pomówimy o tem.

HRABIA. Więc nie odrzucasz tego com się odważył tobie powiedzieć?

MARGRABINA. Wcale nie. Drugie przysłowie „Drzwi muszą być otwarte albo zamknięte.“ Ponieważ te oto, od trzech kwadransy, dzięki tobie, nie są, ani otwarte ani zamknięte, i salon zupełnie się oziębił, zatem podaj mi rękę i pójdź ze mną na obiad do mojej matki. Później wstąpisz do Fossin'a.

HRABIA. Do Fossin'a, po co?

MARGRABINA. A mój pierścionek?

HRABIA. Prawda, jużem był zapomniał. Daj mi więc twój pierścionek margrabino!

MARGRABINA. Margrabino, powiadasz? Otoż w tym pierścionku jest właśnie na sygnecie maleńka margrabiowska korona, a że on służył jako pieczątka... Powiedz hrabio... [2]) jak sądzisz... może kazać zdjąć tę koronę. Chodźmy, idę włożyć kapelusz.

HRABIA. Upajasz mnie szczęściem, jakże ci mam wyrazić...

MARGRABINA. Zamknij że te nieszczęśliwe drzwi, tu nie będzie można mieszkać!

HURTOWNICY AMERYKAŃSCY.

(PRZEKŁAD Z ROSSYJSKIEGO.)

Zima wśród stepu. — Transport zimowy bydła stepowego. — Podróż i nocleg w czasie zawiei śnieżnej. — Mieszkanie kolorowego właściciela tabunów. — Sztuka zarządzenia transportem. — Handel zamienny z czerwonoskóremi — Charakterystyka handlu na półdzikich właścicieli bydła stepowego. — Właściwa kolorowym handlarzom chciwość — i ich pochodzenie. — Stosunek gospodarzy do robotników — Sposób życia czerwonoskórych na stepie. — Zawisłość handlarzy kolorowych od ich kollegów cery białej. — Fort pograniczny. — Ludność południowo-zachodniej części Tehasu. — Bezskuteczne starania o zaludnienie stepu. — Zaludnianie gruntów pustych. — Gospodarka przesiedleńców. — Administrator nowo-zaludnionych przestrzeni. — Środki przeciwko suszom. — Sztuczne łąki i jeziora. — Wybór ziarna do siewu. — Grunta doświadczalne. — Studnie artezyjskie. — Siano stare jako korzystny artykuł zbytu.

W połowie lutego, ze stadem bydła liczącym 8,000 sztuk z górą, zbliżaliśmy się do granicy Tehasu... Dwa już więc prawie miesiące nie spałem pod ludzkim dachem!..

Zima ze swemi nawałnicami i zawiejami śnieżnemi, zaczyna się w tej części stepu w styczniu i trwa aż do marca, to jest do czasu, dopóki wiatr południowo-wschodni nie porozpędza szarych obłoków i ciemnych chmur śniegowych, stale o tej porze pokrywających strop niebieski i dopóki zwrotnikowe prawie słońce nie ogrzeje przesiąkłej wilgocią urodzajnej ziemi stepowej.

Przejście od zimy do lata, odbywa się nadzwyczaj szybko, w ciągu bowiem dni kilku, step się bujną trawą i najróżnorodniejszem kwieciem pokrywa. Nieprzeliczona moc zwierząt, ptaków i owadów, przepadłych gdzieś na czas zimy, napełniają też zaraz pustynię, wyglądającą obecnie niby park najrozkoszniejszy

Podróż wśród stepu na wiosnę jest więc raczej przyjemną wycieczką jak nużącą włóczęgą. Ale zupełnie co innego w zimę. Bogu jednemu wiadomo ile my, ile zwierzęta nasze wycierpiały w czasie dwumiesięcznej tułaczki po pustyni.

A odłożyć zakup i transport bydła do wiosny jest rzeczą niemożliwą dla wielu bardzo względów. Właściciele stadnin potrzebując ciepłej odzieży, wisky i innych przedmiotów, dowożonych ze Stanów, chętniej zatem dopełniają zamiany, a co najważniejsza, w czasie zimy step wolnym jest od Indyan emigrujących na południo-zachód. Nieobecność tych dzikich czyni pobyt wśród pustyni prawie zupełnie bezpiecznym i jednocześnie pozwala trzymać mniejszą liczbę strażników, co o wiele cyfrę wydatków pomniejsza.

Brak zarobków innych, bo o tej porze rzadko kto decydował się prowadzić transport, dawał nam możność wybierania sobie do pomocy ludzi wyborowych, znających się doskonale na swojej sztuce.

Co się tycze tej okoliczności, że bydło w czasie złej pogody pędzone, wiele traci na wadze, nie zwracaliśmy na to uwagi. Schudło by ono i w stadach pasącyah się na stepie, owszem w czasie długich pochodów mogliśmy się zatrzymywać w miejscowościach osłoniętych górami od chłodnych podmuchów wiatru lub też pośród lasów gdzie i podczas zimy dosyć jest odpowiedniego pożywienia. Mogliśmy więc w lepszym stanie dostawić transport na granicę, niżeli gdyby pozostawał w stadach, których na półdzicy właściciele nie zbyt troskliwie doglądają, zwłaszcza też w czasie zimy, gdy ze skórzanego szałasu trudno na świat nosa pokazać.

Ciepła jesień dopisywała w roku tym dosyć długo, bo aż do połowy stycznia. Rzadko i to niewielkie padały deszcze, rzadko śniegowe panowały zawieje. Noce bywały porządnie zimne, w dzień słońce przygrzewało bardzo silnie. Początek więc podróży, mieliśmy wcale przyjemny. Zdążyliśmy odwiedzić kilkanaście stanic bydła i zakupiliśmy prawie to wszystko co było zaofiarowane.

Uradowani z powodzenia, wesoło pędziliśmy tabun, trzymając się ciągle jak najbliżej granicy, w nadziei, że nie puszczając się w głąb pustyni, dokompletujemy braków.

Ale nasza radość zawczesną się okazała.

Gdy raz po noclegu popędziliśmy stado czas był spokojny a na niebie ani jednej nie było chmurki. Nagle z północo-zachodu powiał lekki wiaterek. Z początku zaledwo muskał kiściami zeschłej trawy, ale pomału zaczął się zwiększać i zmienił się w huragan, w całem słowa tego znaczeniu.

Niebo się zachmurzyło, śnieg całemi lecieć począł płatami. Temperatura się zniżyła i tak się ochłodziło, iż pomimo ciepłej odzieży i dwóch płaszczów, trząsłem się z zimna jak w febrze.

Śnieg padał tak obficie, iż po dwóch godzinach, konie w nim grzęzły po kolana. Pokryły się wszystkie nierówności gruntu i często jadący przodem przewodnik, instynktownie odgadujący kierunek którego trzymać się wy-

[1]) *Dwie sentencye.*
[2]) *Fleurons.*

padało, zapadał tak głęboko, że z trudnością mógł się na wierzch wydobywać.

Przez kilka godzin z rzędu szliśmy podczas uraganu zrywającego nas z siodeł, spodziewając się lada moment pogody. Ale nie sprawdzały się słodkie marzenia, uragan szalał owszem coraz bardziej—i śnieg nas coraz bardziej zasypywał.

Woły zbiwszy się w ściśnioną kolumnę szły zwolna przez śnieżne zaspy, rycząc od czasu do czasu, konie z początku gniewały się na wiatr z nóg je zwalający, wierzgały i stawały dęba, ale poczuwszy, że to wszystko na nic się nie zdało, poszły spokojnie za bydłem.

Najgorzej było z furgonami, których mieliśmy dwadzieścia. Przedewszystkiem zaprząg z czterech par wołów okazał się niedostatecznym i doprzęgając coraz po nowej parze, doszliśmy do tego, że każdy furgon ośm par wołów ciągnęło.

Proszę sobie wyobrazić co to za miła rzecz kierować takiemi ośmiu parami!

Przy zawierusze tak strasznej niepodobna było wybrać do zaprzęgu spokojniejszych bydląt, brało się więc te, jakie się łatwiej pochwycić dały. Uparte zwierzęta nie chciały iść jak należy, zatrzymywały się, rzucały w bok, prze wracały.

Transport rozciągnął się na przestrzeń milową.

Dozorcom i posługaczom roboty na chwilę nie brakło. To trzeba było ciągle rozplątywać linki zaprzęgowe, to podnosić przewracające się furgony, pomagać wydobywać się im z topieli, to wreszcie koła ze śniegu oczyszczać, bo inaczej obracać się nie chciały.

Wszystko to robić było potrzeba na strasznym wietrze — i zimnie takiem, że postronki wymykały się z palców skostniałych.

Że zaś nie można było widzieć gdzie i komu potrzeba pomocy, musieliśmy kierować się po głosie i podążać na pomoc wołającemu, narażając się co chwila to na upadek z konia to na przebicie się o którykolwiek z furgonów. Ludzie nareszcie stanowczo z sił opadli i trzeba się było zatrzymać w mniejszej połowie zamierzonej drogi.

Przystanek nie był wygodniejszym bynajmniej! Rozpalić ogień nie było podobna, ustawliśmy więc do koła furgony, za nimi konie aby je nieco od wiatru osłonić, sami zaś pokładliśmy się pomiędzy kołami kibitek, poosła niawszy o ile się dało boki odzieżą. Z taborem nie wiele było kłopotu. Jak tylko się zatrzymano, woły nieraz już wytrzymujące podobną pogodę, pokładły się zdecydowane widocznie wyczekiwać cierpliwie na odmianę.

Pomieszczenie pod furgonami, pomimo usilnych naszych zabiegów było nie do wytrzymania. Jeżeli jako tako byliśmy zabezpieczeni od przemakania z góry, jeżeli w tym rodzaju namiotu, dokoła osypanego śniegiem dosyć nam ciepło nawet było, to na dole za to, na ziemi z której niepodobna było uprzątnąć wszystkiego śniegu, coraz było wilgotniej a nareszcie wytworzyły się kałuże, w których już leżeć niepodobna było. Spaliśmy siedząc na siodłach lub na linach w krąg złożonych, a tu w dodatku nadchodziła kolej na pikietę. Nim zdążyłeś się ogrzać pod przykryciem, już cię wołają na wartę na wietrze z nóg ścinającym, na śniegu który w ciągu kwadransa osypywał cię ze wszystkich stron, tworząc z ciebie rodzaj śniegowego kopca, po nad którym sterczał bagnet i lufa karabinowa, bo tych się śnieg nie imał. Nie wielka korzyść z takiej czatowni. Dokoła nic usłyszeć nie można, oprócz wściekłego wycia burzy, na dziesięć kroków niepodobna odróżnić ani człowieka ani zwierzęcia. Odbywaliśmy jednak warty aby niezrywać raz ustanowionego porządku.

Burza ustatkowała się nazajutrz dopiero rano, niebo się wypogodziło, wiatr ucichł zupełnie, śnieg pokrywający ziemię na kilka stóp, topniał pod promieniami przypiekającego słońca. Wydobywszy się z pod furgonow, spostrzegliśmy, że z północno-wschodniej strony uformowała się ściana śniegowa. Pod osłoną tej ściany stały konie, niecierpliwie kopiąc nogami i rżeniem się domagając śniadania.

W stronie gdzie była burta, nic nie było widać oprócz przestrzeni śnieżnej, najeżonej licznemi wypukłościami. Nasunęła mi się myśl czy nie zagrabiono naszego stada korzystając z niezbyt licznej straży.

Ale otóż jedna z wypukłości poruszyła się i ukazały się zeń najpierw dwa rogi a następnie cała głowa wołu. Zaraz po tem w kilku miejscach jedna za drugą ukazywały się głowy wołowe, i nakoniec podniósł się cały tabor, śnieg z siebie pilnie strząsając. Przez cały czas zawiei bydło leżało spokojnie i śnieg nakrył je całkowicie, pod tą więc osłoną ciepło im było jak w uchu. Skoro jednak śnieg topnieć począł, zrobiła się wilgoć i wszystko się pozrywało na nogi.

Postawszy czas jakiś i nie zobaczywszy ani źdźbła trawy dokoła, bydło zajęło legowiska poprzednie, poddając się ze stoicką obojętnością konieczności fatalnej.

Nie nakarmiwszy wołów nie można było puszczać się w dalszą drogę, to też w nadziei że śniegi puszczą wkrótce, narąbaliśmy krzaków, oczyścili pewną przestrzeń gruntu i zabraliśmy się do wzniecenia ognia. Udało nam się to na szczęście, a przygotowana gorąca kawa sprawiła, żeśmy o dokuczliwie spędzonej nocy, zapomnieli zupełnie.

Słońce tymczasem robiło swoje—i śnieg niknął nam w oczach. Najpierw zobaczyliśmy kończyny trawy, następnie pożółkłe liście, nakoniec dolne zielone listki, stanowiące paszę zimową dla bydła. Puściliśmy woły na paszę, a po dwu godzinach jużeśmy ruszyli w drogę.

Chociaż słońce roztopiło śniegi zupełnie, nie wiele polepszyło to nasze położenie. Wody nie przesiąknęły jeszcze w głąb, błoto było ogromne.

Furgony nie mogły postępować za stadem, bo gdzie ono przeszło, tworzyły się grzęzkie kałuże i koła całe zarzynały się w błoto. Trzeba było więc jechać albo przed stadem co miało niewygody liczne, albo trzymać się bokiem — chociaż więcej jak dwa lub najwyżej trzy furgony iść za sobą nie mogły, w ziemi bowiem miękkiej wytwarzała się głęboka kolej napełniona wodą, i z tego znowu formowały się wertepy niepodobne do przebycia dla wozów następnych.

Najmniejsze dołki poprzemieniały się w jeziora, a doły większe w niebezpieczne do przeprawy rzeki.

Przestrzegać zaprowadzony porządek okazało się rzeczą niemożliwą. Furgony porozjeżdżały się w najrozmaitszych kierunkach, szukając każdy na swoję rękę najdogodniejszej dla siebie drogi. O systematyczności zajęć i o regularności w przystankach także ani mowy być nie mogło, bo prowadzącym transport coraz nowe się nasuwały zajęcia. Tu trzeba było podnosić wóz przewalony, tam pomagać wyciągać go z trzęsawicy, a tam gdzieś znowu borykać się z zaprzęgiem nie chcącym brodzić po błocie i wodzie.

Wieczorem spadł w dodatku ulewny deszcz z gradem i bardziej jeszcze rozmiękczyła się ziemia.

Zima odzyskiwała swe prawa — śniegowe urugany, zawieje, ulewy, były na porządku dziennym.

W przerwach małych, gdy wiatr się uciszył, słońce przygrzewało nam czas jakiś, poczem chłód, jeszcze stawał się dokuczliwszym.

Wobec takiego stanu pochód wśród stepu był niezmiernie uciążliwym, to też zmieniliśmy zamiar pierwotny posuwania się w prostym kierunku ku granicy, postanowiwszy wziąść się więcej na południe, to jest podążać w stronę stepu przerżniętą dosyć wysokiem wzniesieniem lesistem, wmykającém w południową część Tehasu.

Tam udali się byli stepowi właściciele bydła na zimowanie ze swemi stadami.

Po długim mozolnym marszu i wyczerpaniu sił do ostatka, dotarliśmy nareście do celu. Pod osłoną gór i lasów podróż dalsza nie była w istocie tak już mordującą, chociaż dokuczały zawsze codzienne deszcze i częste zawieje śnieżne.

Ciągnąc od jednej stanicy do drugiej dobijaliśmy ku granicy, dokupując po drodze brakującą nam jeszcze liczbę wołów.

Pomiędzy stanowiskami położonemi w miejscowościach pod względem paszy korzystnych, zatrzymywaliśmy się po dni kilka, ażeby dać bydłu odżywić się i odpocząć

Gdy w czasie deszczów i zawiei, kostniejący od zimna—niby do utraconego raju wzdychałem do pierwszej lepszej stanicy, sądząc że w namiocie właściciela stad będzie się można ogrzać wybornie, przyzwoicie odpocząć i nabrać sił do dalszej równie mozolnej drogi—dziwiła mnie jedna okoliczność niezmiernie. Dziwiło mnie że strażnicy równie w pień przeklinający zimno i niepogodę, nie wzdychali ku tym przybytkom, marząc raczej o dalekich wentach i blokhauzach.

Niestety! dotarłszy do pierwszego namiotu, rozczarowałem się w nadziejach — i zrozumiałem obojętność strażników.

W podróżnem mieszkaniu bogatego handlarza bydłem, niepodobna kilku minut wytrzymać, tak tu strasznie brudno i takie tu straszne powietrze.

Kibitka najbiedniejszego Kałmuka na południo-wschodzie Rossyi to pyszne, ba to zbytkowne pomieszczenie w obec skórzanego namiotu, w którym się gnieżdżą bogaci właściciele stad z rodzinami, służbą i stróżującymi psami.

Budowa takiego szałasu nadzwyczajnie jest prosta. Na przestrzeni oto 28 stóp długości a 15 szerokości, wbijają się w ziemię cztery pale, około siedmiu stóp szerokie. Końce górne umacnia się żerdziami, tak zaś uformowane ramy, z wierzchu i z boków obciągają się wysuszonemi na słońcu skórami i... gotowe wszystko.

Drzwi i okna tworzą otwory przysłonięte skórą. Otwór niewielki w dachu, t. j. w nakryciu wierzchniem, służy do wyprowadzania dymu na zewnątrz, który swoją drogą brudzi wszystko co się w tem pierwotnem mieszkaniu ludzkiem znajduje. (d. c. n.)

ROZMAITOŚCI.

Naukowe.

Szósty z kolei, jeśli się nie mylimy zjazd badaczów *starożytności przedhistorycznych*, ma się odbyć w r. b. między 4—11 września, w Peszcie (poprzednie począwszy od r. 1865 odbywały się mniej więcej co dwa lata w Londynie, Paryżu, Brukseli, Sztokholmie i Kopenhadze). Prezesem zjazdu jast Franciszek Pulszky, generalny konserwator zabytków starożytności w Węgrzech, sekretarzem ks. Floryan Romer, profesor archeologii w uniwersytecie peszteńskim. W wykazie członków zjazdu mieści się znaczny zastęp nazwisk badaczów polskich a mianowicie: M. Berson, K. Bayer, zmarły świeżo Władysław Chomętowski, Z. Działowski, H. Feldmanowski, Z. Gloger, St. Kossakowski, J. I. Kraszewski, A. Lesser, J. Łoski, Tadeusz książe Lubomirski, Józef Łepkowski, St. Mierzyński, Stanisław Pawiński, B. Podczaszyński, ksiądz Polkowski, Konst. hr. Przeździecki, J. Przyborowski, H. Skimborowicz, F. Sobieszczański, E. Stawiski, K. Szulc, P. hr. Tyszkiewicz, J. Wróblewski, J. Zawisza.

Społeczne.

Jedna z gazet lwowskich podnosi kwestyą uczczenia 50-cio letniego jubileuszu J. I. Kraszewskiego, jaki za dwa lata przypadnie. — Proponuje ona wybicie medalu odpowiedniego i wydanie książki zbiorowej.

— „Ruskij Mir“ pisze że otrzymał z Warszawy wiadomość o istniejącym projekcie utworzenia w Królestwie Polskiem, nowego *banku kredytowego ziemskiego*, w bardzo szerokich rozmiarach. Ustawa banku już podobno jest opracowana. Bank wedle brzmienia tej ustawy, nabywać ma wszelkiego rodzaju posiadłości ziemskie, oraz sprzedawać takowe z rozkładem należności na raty, jak również wymieniać takie nieruchomości na wszelkiego rodzaju ubezpieczenia hipoteczne, dalej oddawać może wszelkie nieruchomości ziemskie w dzierżawę, oraz dokonywać z niemi wszelkiego rodzaju podobnych operacyj. Kapitał zakładowy tego nowego banku wynosić ma według ustawy sześć miljonów rubli. Bank do swoich obrotów wypuszczać będzie terminowe obligacye, oparte na hipotecznych zabezpieczeniach, z tem jedynie zastrzeżeniem, że, ogólna wartość owych obligacyj nie może przenosić dziesięć razy wziętego kapitału zakładowego.—Dałby to Pan Bóg żeby pogłoska przez „Ruskij Mir“ puszczona, prawdziwą się okazała.

— Jeden z bogatszych właścicieli ziemskich gubernii Płockiej p. F. powziął podobno zamiar utworzenia siłami zbiorowemi instytucyi kredytowej w Płocku—mającej wyświadczać wielkie usługi ziemianom.

— W Kijowie d. 10 (22) maja, w miejscowym ogrodzie Botanicznym, popełniono straszną zbrodnię, gdyż wśród dnia zamordowano (przez uduszenie zapomocą chustki do nosa) dwie panienki, to jest Józefę lat 12 i Antoninę zaledwie lat 10 mające, córki p. Bogusławskiego z Żytomierza, który od lat kilku przebywał w Kijowie. Mordercy, jak wnoszą ze śladów zgrabnego obuwia, pozostałych na piasku, należeli do lepszego towarzystwa. Śledztwo prowadzi się.

Literackie.

— Rocznik Towarzystwa osad rolnych i przytułków rzemieślniczych za rok 1875, wydawany staraniem i nakładem zarządu towarzystwa, wyszedł w tych dniach na widok publiczny, z drukarni pana J. Sikorskiego.

— Z drukarni J. Ungra, wyszła „Nauka Buchalteryi“ teoretycznie wyłożona przez Erazma Nowickiego, byłego głównego buchaltera i członka Banku Polskiego, wydana staraniem p. Erazma Lisnera, urzędnika wydziału buchalteryi tegoż banku. Jest to pierwszy zeszyt, tyle pożądanego przez wielu dzieła.

— W Warszawie gości obecnie pułkownik wojsk pruskich Zakrzewski, zajmujący się wydawnictwem Kodeksu Wielkopolskiego i dla tego zbiera odpowiednie ku temu materyały. W Warszawie tak w archiwach i bibliotekach rządowych jako też prywatnych, znalazł mnóstwo niemałej wartości dokumentów, z których najwięcej dostarczyła mu biblioteka Zamojskich. Otrzymał on także dostateczny zbiór i od osób prywatnych, a między innemi i znany literat p. Cezar Biernacki, dostarczył mu bardzo wiele dyplomów, zwłaszcza Kaliskich, których dotąd nie posiadał. W ogóle pułkownik Zakrzewski ma już w swoich rękach do tysiąca tego rodzaju dyplomów, które dotąd nigdzie drukowane nie były.

— „Wiadomości z Nauk Przyrodzonych:“, 1. *Wiadomości ze świata roślinnego* — ułożone przez Radę Pedagogiczną Warszawskiego Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych, a przez Kuratora Okręgu Naukowego Warszawskiego Senatora Witte zatwierdzone i polecone do użytku uczniów rzeczonego Instytutu, wyszły w tym czasie z druku. Cena książeczki k. 30.

Artystyczne.

— Teatrzyki ogródkowe rozpoczęły letnią kampaniję. W Eldorado na ulicy Długiej osiedlił się p. Atanazy Trapszo, w Alhambrze na Miodowej p. Teksel, Alkazar na Królewskiej posiadło towarzystwo p. Juliana Grabińskiego, a Tivoli, od Zielonego placu — towarzystwo artystów poznańskich p. Terenkoczy. Dochód z pierwszego przedstawienia odbytego we wtorek 30 maja, przeznaczyli dyrektorowi na cel dobroczynny mianowicie na rzecz szpita S-go Jana Bożego, dochód zaś z przedstawienia w dniu 31 maja, na zwiększenie funduszu tanich kuchen.

— Znakomita artystka dramatyczna pani Helena Modrzejewska udaje się na trzy gościnne występienia do Lwowa.

— Benefis p. Matuszyńskiego reżysera opery odbędzie się w drugiej połowie czerwca. Przedstawienie benefisowe składać się będzie z niegranej dawno wspaniałej opery Moniuszki p. t. „Straszny Dwór“ i 3-go aktu tegoż autora p. t. „Hrabina,“ — Dowiakowska, Żółkowski, Filleborn, Cieślewski, Kozieradzki, Wasilewski a przytem zasługi jubilata dla naszej sceny i muzyka nieśmiertelnego Moniuszki, są najlepszą rękojmią, że przedstawienie to będzie jednem ze świetniejszych i przepełni teatr publicznością. Dzisiaj już liczne zapotrzebowania biletów, które dopiero za dni kilka będą do nabycia. Dodać nam wypada, że w „Hrabinie“ partyę Zosi śpiewać będzie córka jubilata panna Antonina Matuszyńska, która jest uczennicą swego ojca i po raz pierwszy w jego przedstawieniu benefisowem zaprodukuje się na scenie.

— P. Rafał Hadziewicz, b. profesor szkoły sztuk pięknych, wykończa obraz S-go Wincentego à Paulo, dla kościoła katedralnego w Lublinie.

— „Gazeta Polska“ zaznacza jako pogłoskę potrzebującą potwierdzenia: iż w okolicach ulicy Zakroczymskiej stanąć ma centralny dworzec dla wszystkich koncentrujących się w Warszawie linij kolejowych.

— „Nowoje Wremia“ donosi że przygotowuje się projekt obowiązkowego urządzenia *straży ogniowych wiejskich*, do opracowania którego w szczegółach, ma być wyznaczona osobna komisya.

Szkoły.

— Sześcioklasowe szkoły realne w Warszawie i Łowiczu istniejące, mają z początkiem roku szkolnego 1876/7, otrzymać klasę siódmą.

— Prezydent miasta Łowicza zauważywszy że wielu majstrów rzemieślniczych, lekceważy sobie rozporządzenie władzy stanowiące że każdy uczeń warsztatowy obowiązanym jest uczęszczać do szkół rzemieślniczo-niedzielnych, polecił, aby każdy majster w trzy dni po przyjęciu ucznia wysłał go do szkoły rzemieślniczej i czuwał nad regularnem do niej uczęszczaniem, w przeciwnym bowiem razie winni podlegać będą *karze pieniężnej*. Warto, aby to rozumne polecenie p. prezydenta miasta Łowicza znalazło wszędzie zastosowanie.

— Ponieważ dosyć częste zmiany książek szkolnych, źle wpływają na postępy w naukach, a dla młodzieży niezamożnej są wielce uciążliwe, Ministerstwo Oświecenia Publicznego ma zamiar wprowadzenia stałych podręczników, we wszystkich zakładach naukowych.

Ogłoszenia.

Дозволено Цензурою. Варшава 21 Мая (2 Іюня) 1876 г.

W drukarni Józefa Kaufmana. — Warszawa, Nr. 638 (9 nowy).

Wydawca Korzeniowski.

Redaktor Henryk Perzyński.